

Nowe nogi  
w „Motorze”

- str. 10

Co gra  
„Republika?”

- str. 10

BURZĄC POMNIKI  
OSZCZĘDZAJCIE COKOLY  
- ZAWSZE MOGĄ SIĘ  
PRZYDAĆ

S. J. LEC



Rys. Jerzy Tarłowski

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

# kamena



NR 5 (772)

27 lutego - 12 marca 1983

CENA 10 ZŁ

ROZMOWA Z DYREKTOREM ODDZIAŁU WOJEWODZKIEGO NBP W LUBLINIE WŁODZIMIERZEM KOSACKIM

## Fruwający pieniądze



Fot. Cezary Krupa

— Co słyhać panie dyrektorze?  
— Szelest fruujących pieniędzy.  
— I to pana martwi?  
— Oczywiście że martwi!  
— Martwi pana, że ludzie mają pieniądze?  
— Ja jestem bankowcem. Mnie interesuje, żeby miał jak najpełniejszy sejf. Poza tym tak się akurat składa, że „mój” bank jest bankiem państwowym i to, co u mnie w sejfie, to także w budżecie państwa zarazem...  
— Uczyli mnie, że pieniądz robi pieniądze, kiedy się nim obraca. Co panu z pełnego skarbcza?  
— Pieniądz robi pieniądze, jak się nim mądrze obraca, a nie tak w ogóle. A pełny skarbiec nie oznacza przecież, że forsa w nim leży, a ja przyjdę, poglądam ją i jestem zadowolony.  
— Ale przecież bank jest po to, żeby udzielał kredytów. Na tym się zarabia. Tak to nawet widzi reforma gospodarcza.  
— Owszem, podstawowymi zadaniami banku, zwłaszcza państwowego, jest działalność kredytowa i emisja pienią-

dza. Jest również prawdą, że takie zadania wyznacza NBP reforma. Jest jednak zasadnicza różnica między bankiem u nas, a na Zachodzie. Gdybym miał bank w Nowym Jorku i przyszedłby do mnie biznesmen po kredyt, to mnie by interesowało: 1) czy daje on gwarancje spłacalności w terminie; 2) na jaki procent się umawiamy, formę spłaty itd. Mniej, albo wcale ciekawiloby mnie, na co on ten kredyt wyda. W Lublinie natomiast muszę interesować się, co kredytobiorca zrobi z pieniędzmi, na jakie cele je wydatkuje bo takie są zadania banku państwowego i socjalistycznego.  
— Czyli musi mu pan spoglądać na ręce?  
— Naturalnie. Bardzo uważnie.  
— Bo może głupio wydać?  
— O to chodzi. Zresztą są na to przykłady.  
— Do tego wrócimy: Zaczniemy może od źródła. W jaki sposób reforma gospodarcza zmieniła waszą rolę i zadania?

Dokończenie na str. 8

## Nie wszyscy w Warszawie to kandydaci do Nobla (Artykuł dyskusyjny)

Zygmunt Mikulski

**N**IE można powiedzieć, że los literatury zależy od rozstrzygnięć organizacyjnych, mających dotyczyć Związku Literatów Polskich, wszelako zauważa się pewne przywiązanie do tej organizacji ze strony jej członków i tę okoliczność

przy podejmowaniu decyzji warto uwzględnić. Bo, że Związek jest potrzebny, nie ulega wątpliwości. Aczkolwiek jest potrzebny na takiej zasadzie, na jakiej potrzebne są pieniądze, których nie odczuwa się dodatnio, kiedy są, natomiast odczuwa się ujemnie

kiedy ich nie ma. Samo istnienie Związku nie ułatwia sprawy rozwoju życia literackiego, ale jego nieistnienie uniemożliwia organizacyjne i społeczne przedsięwzięcia, mające na celu prezentację środowiska literackiego i jego dokonania, udział organizacji literackiej w

tworzeniu form współpracy dla powiększenia dorobku kulturalnego.

Stan wyczekiwania, jaki się obecnie wytworzył, jest pierwszy w dotychczasowym życiu Związku, chociaż

Dokończenie na str. 4



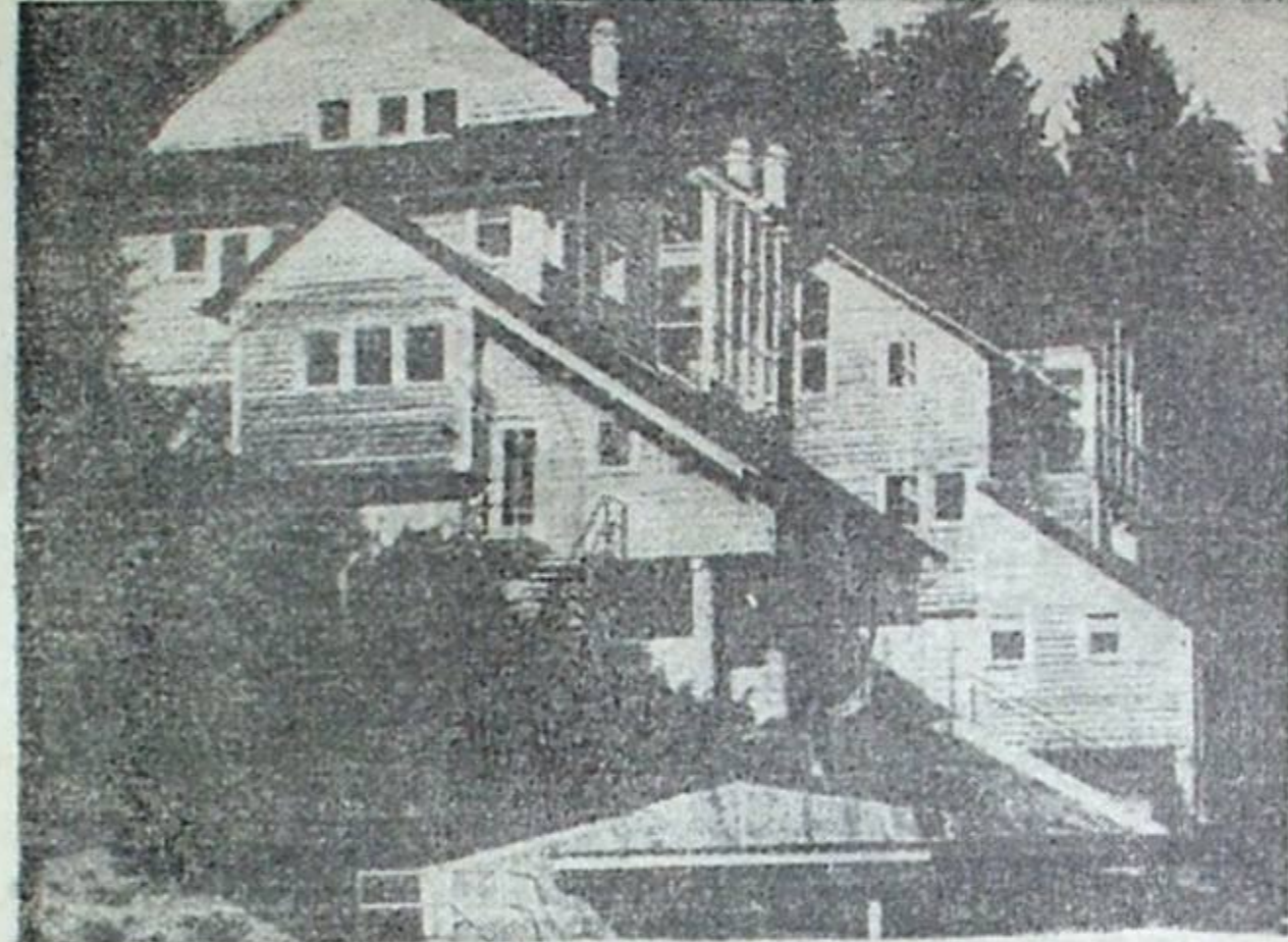
# Mieszkania ...i pigułki antykoncepcyjne

**H**ORST Krueger zastanawiał się na łamach „Die Welt” nad przemianami obyczajowymi w RFN. Głównie chodziło mu o ubiory.

„Ludzie — stwierdził — dziwnie upodobili się do siebie. Zatarły się różnice płci: dziewczęta noszą włosy krótkie, zaś mężczyźni bardzo długie, razem zaś ubierają się w jasnoniebieskie, wytarte spodnie, które powinny

też uroczyści, które wymagałyby ściśle określonego stroju...”

No i znakomicie: inaczej bardzo źle bym się czuł w monachijskim Deutsches Theater na amerykańskim musicalu „West side story”. Mój skromny garniturek zakupiony w lubelskim PDT w czasach ogólnej prosperity niczym szczególnym tu minus tutaj się nie wyróżniał. Powiedziałbym nawet, że polska publiczność w polskich teatrach, mimo znanych trudności etc.,



Powrót do drewna...

właściwie obrazować skrajną biedę, ale na to wyglądają za bardzo szykownie i modnie. Do tego dochodzą skórzane kurtki, kolorowe kamizelki, bluzy, bawełniane koszulki. Krawat widzi się rzadko — przeważają koszule z rozpiętymi kołnierzykami, za to widzi się najrozmaitsze szaliki i chustki, najlepiej w stylu palestyńskim. Dziewczęta noszą szerokie suknie do kostek, przypominające Indie, a przynajmniej Daleki Wschód [...] Uległy też zatarciu różnice wieku. Dawniej człowiek stary ubierał się staro, to znaczy na czarno i z godnością. Po kobiecie było widać, że jest babka: jej czarny kapelusze w kształcie rozda zdawał się mówić: — Ze wszystkich spodziewanych uroczystości został już tylko poórzech... Dziś sytuacja jest zupełnie inna: kobieta pod pięćdziesiątkę może przedstawiać się bardziej atrakcyjnie niż jej postępową córkę. [...] Pokolenia zbliżyły się do siebie. Młodemu podoba się nostalgiczny styl epoki dziadków, zaś prawdziwy dziadkowie chcą być i młodzieńcy i postępowi i często są tacy w istocie...”

Autor zwrócił też uwagę na to, że po ubraniach nie można dziś rozpoznać struktur klasowych. „Nie ma już dawnego bogacza, w zakiecie albo we fraku, z monoklem w oku i laska ze srebrną galką w reku. Rzecz zrozumiała, że istnieją ludzie bogaci, na przykład członkowie zarządów wielkich koncernów lub banków, ale nie wyróżniają się już ubiorem. [...] Nie ma

prezentuje się bardziej wytwornie niż publiczność niemiecka w Deutsches Theater, z czego jednak zbyt daleko idących wniosków wyciągać nie należy. Niemniej jestem przekonany, że gdyby moja współrodaczka miała możliwość takiego wyboru strojów i materiałów, jaką ma Niemka, potrafiłaby się ubrać — przynajmniej idąc do teatru — z nieco większym gustem. Ale de gustibus... więc tego tematu rozwijać nie będę.

Nonzalareja w ubiorach ma związek z pewnym stylem życia. „Der Spiegel” (autorzy kilkunastu esejów: P. Glotz i W. Malanowski) pisał na przykład w listopadzie ub.r., że zachodni Niemcy studenci niemal totalnie odrzucają społeczeństwo, w którym żyją. To społeczeństwo („rastawione na ryzk i konsumpcję, sterowane przez biurokrację”) jest dla młodych ludzi obce. Niepokój budzą także fakty, jak zwiększająca się liczba samobójstw wśród dzieci i młodzieży, przestępczość, która w ciągu ostatnich piętnastu lat podwoiła się, alkoholizm i narkomania. Młodzież — stwierdza „Spiegel” — marzy o „wyspie na morzach południowych z palmami, słoneczem i bezmiarom owoców”, albo o „wiosce rybackiej, gdzie żyje się wraz z sąsiadami bez przemysłu” lub chociażby o „samotnym bloku mieszkalnym w lesie”.

Ów blok mieszkalny powinien być oczywiście drewniany...

## Marek Adam Jaworski

Trudno na razie mówić o renesansie budownictwa drewnianego w RFN, chociaż wielu mieszkańców, zwłaszcza większych miast, chętnie, jeśli tylko pozwoliliby na to warunki, chciałoby irracjonalnie urządzić sobie życie.

„Zeitmagazin” cytował niedawno opinię holenderskiego architekta, Pieta Bluma. Jego zdaniem byłoby wspaniale, gdyby każdy chłopak (!) mógł się nauczyć... stolarstwa domowego. Przynajmniej człowiekiem — przypomniał Blum — jest budowanie własnego ogniska domowego. Architekci i planiści powinni troszczyć się tylko o infrastrukturę, doprowadzić gaz i elektryczność, wytyczyć drogi i ulice, przy których można zbudować sobie własny dom.

W Bawarii, zwłaszcza na terenach podgórskich, można także drewniane domy oglądać. Są one różnej wielkości.

Niekiedy kilka rodzin stawia dom — gigant, a może ściślej kilka domów wzajemnie ze sobą połączonych. Dzieci mogą się wspólnie bawić na wielkim korytarzu. Obszerne werandy, bogato oszklone stanowią znakomite miejsce odpoczynku.

Projektantami domów z drewna są zwykle ludzie z fantazją. Tutaj nie ma żadnych schematów, musi też istnieć stała współpraca między architektem a przyszłym użytkownikiem. Chodzi o to, aby wszelkie życzenia mogły być już w trakcie tworzenia projektu spełnione, a przynajmniej w ogólnym zarysie przedstawione.

Fantazja fantazja, ale myślą przewodnią jest tak budować, by w miarę

np. składać jak chłop i lekarz. Wchodziły w grę indywidualne gusty, a także miejscowe obyczaje. Nie trzeba dodawać, że te indywidualne gusty były często ukształtowane na podstawie standardowych osiedli podmiejskich domków jednorodzinnych. Domy z drewna były tu obce i zbyt surowe.

Rzecz jasna nie mamy co się bijać — taniość tych domów z drewna, mimo własnej pracy przy ich budowie, jest względna. Pokazywałem mi dom, bardzo obszerny — w sumie 300 metrów kwadratowych. Ile poszło na gotówkę? 300 tysięcy marek. Tysiąc marek za metr kwadratowy to podobno tanio. Są tereny w wielkich miastach, gdzie za metr kwadratowy samej parceli płaci się kwoty oszalałymi.

W którymś z pism znalazłem dane mówiące o wielkości komornego. Na każde 100 gospodarstw domowych obciążenie dochodu miesięcznego netto wszystkich pracujących wyniosło w procentach: 30 i więcej procent dochodu — 11 proc. najemców, 25—30 proc. — 8 proc., 20—25 proc. — 15 proc., 15—20 proc. — 21 proc. i poniżej 15 proc. — 45 proc. najemców.

A oto dane, szacunkowe zresztą, jako że ostatni spis odbył się przed pięć latoma, zasobów mieszkaniowych w RFN, 9 milionów — to mieszkania własnościowe, łącznie z domami jednorodzinnymi, 8,8 mln — mieszkania najmowane, podlegające wolnorynkowym ruchom cen, 4,3 mln — mieszkanie najmowane, dotowane socjalnie i 1,4 mln — mieszkania służbowe, zakładowe itp.

Sądząc po liczbach mieszkań i uwzględniając liczbę mieszkańców, wydawałoby się, że nie jest źle. Statystyka nie uwzględnia jednak postępującej rujnacji starych domów (choć można też dawać przykłady jak to sprytni przedsiębiorcy wykupują stare budowle, dokonują ich modernizacji, a potem gwałtownie starają odbić sobie te inwestycje na długoletnich najemcach, podwyższając im, nawet kilkakrotnie, komornel).

Problemem numer jeden jest jednak nacisk wyżu demograficznego, a także zmniejszająca się podaż: wraz z recesją gospodarczą spada aktywność budownictwa, a zwłaszcza tzw. budowni-



Kilka domów jak jeden...

Repr. z „Zeitmagazin” W. Stępień

możliwością pomoc fachowców ograniczona była do minimum. Stąd oszczędność formy i wyposażenia, logika konstrukcji, a wszystko to w sumie pozwala obniżyć koszty budowy.

Oczywiście drewniane budownictwo nie zawsze cieszy się poparciem miejscowych władz. Monachijski architekt, Sampo Widmann, a także kilku innych oświadczyło, że nigdy im się jeszcze nie zdarzyło, aby projekt domu został zatwierdzony natychmiast. Niekiedy pertraktacje w tej sprawie trwały i dziewięć miesięcy. Szczególnie opory napotymano w gminach, gdzie o pozwoleniu na budowę decydowali nie fachowcy, ale rada gminy, w takim

ctwa socjalnego, które uległo poważnym ograniczeniom. Właściciele mieszkań mogą dowolnie dyktować warunki najmu, wyszukując sobie takich lokatorów, którzy im odpowiadają. Najmniej chętnie widziane są małżeństwa z dziećmi, ale również bezdzietni kandydaci na lokatorów muszą często godzić się na niecodzienne warunki. Tygodnik „Stern” donosił np., że pewna 33-letnia rozwódka z Monachium musiała się zobowiązać (zostało to umieszczone w umowie o najem w rubryce „inne zobowiązania”), że będzie regularnie zatykać pigułki antykoncepcyjne!!

Nasze ADM-y jeszcze tak daleko w swych żądaniach nie zaszyły...

## KRONIKA

● Lubelski Sąd Wojewódzki zarejestrował dotąd ponad 130 związków zawodowych, które skupiają 11 tys. osób. Kolejne wnioski czekają na rozpatrzenie. Oblicza się, że na Lubelszczyźnie chcą wstąpienia do związków zgłosiło około 12 tys. pracowników.

● Według opinii ludzi zorientowanych w sprawie (nasz przedstawiciel zachorował i nie dojechał — przepraszamy organizatorów), „Swaty” zespołu z Niedzwizady i „Korowaj” trupy z Dobrynia Dużego, to najciekawsze widowiska z tych, jakie na początku lutego przedstawiono podczas ósmego

go Sejmiku Wiejskich Zespołów Teatralnych w Tarnogrodzie, w którym uczestniczyło 12 teatrów z ośmiu województw. Bardzo to pożyteczna impreza, choć bez nagród i konkursowej rywalizacji — a może właśnie dlatego?!

● Pracownicy Rejonu Eksploatacji Dróg w Puławach wycieli bez powodu sześć 80-letnich lip przydrożnych, a kiedy nałożono na firmę karę w wysokości 3 715 tys. zł, rejon odwołał się do stosownego ministerstwa, jako że czuje się pokrzywdzony. W oczekiwaniu na rozstrzygnięcie sprawy przypomina my, że puławianie zabrali się niedługo z swego do wycinania topól rosnących wzdłuż drogi prowadzącej do Kazimierza Dolnego, które sadzono bardzo dawno, może za czasów Czartoryskich. „Kamena” protestowała, prawie skutecznie.

● W Lubelskiem pracuje się lepiej: w 1982 r. wydajność w przemyśle wzrosła o 4,7 proc. (na jednego zatrudnionego). Jednocześnie jednak przeciętna płaca z rekom-

pensatami zwiększyła się o 53,8 proc. Tymczasem co warto odnotować, zmalały przeciętne zakupy podstawowych artykułów żywnościowych w kraju.

● Droga zapłacił Automobilklub Lubelski za remont zabytkowego dworu Chrzanowskich na lubelskiej Bielszczyźnie. Prace trwały kilka lat, ale instytucja może mieć powód do satysfakcji, bo została piękny obiekt i przyłożyła dłoń do sprawy ratowania zabytków naszej architektury. Gratulujemy!

● Znakomite rysunki Stanisława Góreckiego można oglądać w lubelskim Biurowym Wystaw Artystycznych. Kto nie widział, niech spiesz się do przybytku przy ul. Narutowicza 4 — nim autor nie przeniesie ekspozycji do jakiejś kolejnej galerii zagranicznej. Na marginesie chcemy poinformować, że wbrew pozorom ruch artystyczny polskich na trasach zagranicznych jest niemały, jako że w minionym roku obce kraje wrytowały 3000 naszych artystów, wspo-

maganych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

● 3000 metrów sześciennych wody na dobę brakuje puławianom do zaspokojenia potrzeb. Co prawda rezbudowuje się nowe ujęcia, planuje kolejne zbiorniki, ale ostateczne rozwiązanie wymaga miliony nakładów i czasu.

● Ogier „Bałtyk”, syn czołowego „Hamdosa” ze stadniny w Janowie Podlaskim, poleciał samolotem do Brazylii. Ekspansja naszych arabsów trwa, ale nie od rzeczy będzie przypomnieć, że takie konie kupowali kiedyś w Polsce... Arabowie. Można powiedzieć: uczeń przedciągnął mistrza.

● Siczkiwie pomagają się wzajem. Jest ich bardzo dużo, w kraju i za granicą, więc trudno się dziwić, że w lubelskim WDK urządziłi sobie sympatyczne święto z okazji setnej rocznicy Józefa z Siczek w Krzeszowie. Korzenie rodu tkwią w Krzeszowie, podobno od drugiej połowy XVI wieku. Pani Józefo zdrowia tyżyczą!



**MIROSLAW DERECKI:** — Osiem lat temu przyjechała pani do Lublina, dwa lata temu objęła pani funkcję dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Łopacińskiego, przed kilkoma tygodniami powołano panią w skład Narodowej Rady Kultury... Jak na tutejsze środowisko — szybka kariera. Zazdroszczą pani?

**ZDZISŁAWA PIOTROWSKA:** — Nie mam najmniejszego pojęcia. A co do tej „kariery”, to nie była ona znowu aż taka szybka i niezwykła. Zanim osiedliłam się w Lublinie, przez piętnaście lat pracowałam w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Zielonej Górze, przechodząc tam prawie wszystkie stopnie bibliotekarskiego zawodu, od najniższego, po stanowisko wicedyrektora. A w Lublinie przyjęto mnie z początku na etat instruktora działu instrukcyjno-metodycznego tutejszej Biblioteki. W Lublinie przygotowywałam się do złożenia egzaminu na tytuł „bibliotekarza dyplomowanego”, bardzo trudnego egzaminu, który zdaje się przed specjalną komisją przy ministrze Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Bez posiadania takiego właśnie dyplomu nie mogłabym obecnie objąć żadnej wyższej funkcji kierowniczej w bibliotekarstwie.

**M. D.:** — Studiowała pani bibliotekarstwo czy polonistykę?

**Z. P.:** — Ani to, ani to. Ukończyłam prawo na Uniwersytecie im. Bolesława Bieruta we Wrocławiu i potem nawet — już w Zie-

wych, badanie potrzeb miejscowego środowiska, przedstawianie Radzie problemów kultury rysujących się we „własnym” regionie, sondaż opinii środowiskowej...

**M. D.:** — Słowem, można by porównać działalność członków Narodowej Rady Kultury do sui generis działalności „poselskiej”.

**Z. P.:** — Tak. Chyba tak... Tym bardziej, że przecież mocno się stawia na utrzymywanie kontaktów zarówno z przedstawicielami miejscowego społeczeństwa, jak i z instytucjami społecznymi, politycznymi i jednostkami administracyjnymi na „swoim” terenie. Rozumiem więc moją rolę m. in. jako odpowiedzialnego „łącznika” pomiędzy „terenem” kulturalnym a kulturalną „centralą”, i w działalności poszczególnych członków Rady będzie się zasadzała jej siła jako całości, jej autorytet. Ale autorytet Narodowej Rady Kultury musi zależeć nie tylko od tego, jak będzie ona sama pracowała, lecz także od tego, w jakim stopniu rząd będzie korzystał z jej rad i postulatów na ile je będzie uwzględniał. Bo sam fakt powołania do życia Narodowej Rady Kultury jeszcze o niczym nie przesądza. Było już wiele rad mało wanych...

**M. D.:** — Pani będzie leżała na sercu przede wszystkim sprawa bibliotek, księgozbiorów?

**Z. P.:** — Jeżeli już pan chce, że bym wróciła „na własne podwórko”, to powiem, że najbardziej leżą mi na sercu sprawy upowszechn-



Fot. Waldemar Stępień

## Książki rozlatują się nam po miesiącu — mówi członkini Narodowej Rady Kultury Zdzisława Piotrowska

lonej Górze — zrobiłam aplikację sędziowską. Chociaż bardziej pociągała mnie nauka; miałam rozpoczęty przewód doktorski, lecz później ten wyjazd do Lublina... Może jednak w przyszłości wrócę i do doktoratu.

**M. D.:** — Jest pani jedną z czterech osób z naszego regionu, które weszły do Narodowej Rady Kultury. Powołano w jej skład także Danutę Danielewicz z Poniatowej — założycielkę i kierowniczkę znanego dziecięcego zespołu muzyczno-wokalnego, red. Danutę Bieniaszkiewicz z rozgłośni „Polskiego Radia”, która od początku istnienia Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej zajmuje się tam społecznie sprawami kultury, oraz aktora i reżysera, dyrektora Teatru im. Osterwy — Ignacego Gogolewskiego. Jak wyobraża sobie pani waszą działalność w Narodowej Radzie Kultury?

**Z. P.:** — Myślę, że na tego rodzaju pytanie można na razie odpowiedzieć raczej tylko w sposób ogólny. Rada dopiero się zbiera do działania. 20 grudnia minister Zygulski ogłosił oficjalnie fakt powołania Narodowej Rady Kultury, pierwsze jej posiedzenie — połączone z wręczeniem nam nominacji — odbyło się 24 stycznia, pierwsze robocze posiedzenie zostało zaplanowane na 28 lutego. Wtedy będzie można mówić już o konkretnych.

**M. D.:** — To mówimy w sposób ogólniejszy...

**Z. P.:** — Na pierwszym posiedzeniu przyjęto przede wszystkim regulamin działania N.R.K., określono jej istotę i status. Narodowa Rada Kultury jest ciałem społecznym, opiniodawczo-doradczym, przy urzędzie Premiera. Będzie ona m. in. opracowywać i przedstawiać rządowi roczne raporty o stanie kultury w kraju, będzie decydować o podziale Funduszu Rozwoju Kultury. Rada ma działać w zespołach roboczych, powołanych do opracowywania poszczególnych, ważnych dla naszej kultury tematów, które zostaną wskazane przez plenum N.R.K. Tak więc członkostwo w Narodowej Radzie Kultury nie ogranicza się do jakiegoś bliżej nieokreślonego „uczestnictwa” — brania udziału w posiedzeniach na Zamku Królewskim w Warszawie. Przeciwnie, od członków wymaga się postawy aktywnej. A więc m. in. praca w komisjach problemo-

wania książki, problemy czytelniczych różnic pomiędzy miastem a wsią, właśnie ze szczególnym uwzględnieniem sprawy czytelnictwa na wsi. W ogóle uważam, że szczególnie wysiłek powinno się wkładać w rozwój kultury na wsi, otaczać staraniem problem edukacji dzieci i młodzieży wiejskiej. A z tym łączy się zagadnienie produkcji nowych książek. Czyli — sprawy wydawniczej.

**M. D.:** — No właśnie: jak jest z tymi sprawami wydawniczymi?

**Z. P.:** — Z danych statystycznych wynika, że w 1982 r. ukazało się w Polsce 174,4 miliona egzemplarzy, a w 1985 r. produkcja ma wzrosnąć do 220—230 milionów...

**M. D.:** — Przepraszam, ale to mi nie mówi. Ja wiem, że wartościowych książek na półkach nie ma, a jak się ukażą, to się po nie ustawiają kilometrowe kolejki...

**Z. P.:** — Zmierzam od tego, że ostatnio biblioteki odczuły poprawę w zaopatrzeniu. Ale zaraz też dodam, że ustalone zostały priorytety wobec książek dla dzieci, podręczników szkolnych itp. To, oczywiście, wypełnia w jakiejś mierze lukę bardzo istotną, jaką był brak książki przeznaczonej dla młodego czytelnika, i to nam ratuje szczególnie sytuację w bibliotekach wiejskich, gdzie gros czytelników stanowią dzieci i młodzież. Ale faktem jest, że mamy ogromne braki, jeżeli chodzi o literaturę encyklopedyczną, słownikową itp. Nie mówiąc już o literaturze pięknej. Tej zresztą jeszcze mamy w bibliotekach pod dostatkiem, ale to są przecież „zapasy” z dawnych lat. Na rynku księgarskim ta sprawa przedstawia się fatalnie. A jeżeli chodzi o liczbę: w 1982 r. Wojewódzka Biblioteka Publiczna zakupiła 100 tys. nowych książek. Jak by ktoś się uparł, to mógłby powiedzieć, że było lepiej niż w roku 1981, bo wtedy kupiliśmy 6 tys. egzemplarzy mniej. Ale przecież w latach poprzednich stale przekraczaliśmy te 100 tysięcy!

Warto tutaj zwrócić uwagę na problem, który może być mniej istotny dla prywatnych nabywców, ale dla nas, bibliotekarzy, ma znaczenie ogromne: jakoś techniczna książka! Czy pan wie, że — puśczone w obieg czytelniczy — niektóre książki rozlatują nam się już po miesiącu, czasem nawet — po

tygodniu! A z tym się zaraz włączy problem konserwacji. Brakuje specjalnych bibulek, klejów itp. I książka musi stać na półce i czekać, bo w stanie, w jakim się znajduje, nie może być wypożyczana... To jest tym smutniejsze, że po „dobrych” latach sześćdziesiątych, dobrych w sensie wydawniczym, rozbudziliśmy czytelnicze apetyty, zainteresowaliśmy także ludzi gromadzeniem własnych księgozbiorów, a teraz tych zapotrzebowań nie jesteśmy zdolni zaspokoić. Stąd m. in. kolejki przed księgarniami i stąd pokątny handel książkowymi nowościami na bazarach, z cenami, od których może się zakreślić w głowie...

**M. D.:** — Będzie pani te problemy podnosić na posiedzeniach Narodowej Rady Kultury?

**Z. P.:** — Będę wielkim głosem nawoływać do poprawy sytuacji. Tylko niech pan przypadkiem nie wymaga, żebym już teraz odpowiedziała, jak na przykład zwiększyć produkcję książek. Zresztą ja nie mam na to bezpośredniego wpływu.

**M. D.:** — Cóż stanowi o masowości czytelnictwa: dobra książka, zręczne metody upowszechniania, odpowiednia „agitacja”?

**Z. P.:** — To wszystko razem, plus jeszcze jedna rzecz, której na ogół nie dostrzega się — odległość. Tak, odległość punktu bibliotecznego od miejsca zamieszkania. Badania wykazują, że w mieście na przykład największe „zagęszczenie” stałych czytelników zaznacza się w promieniu 700 m do 1 kilometra od biblioteki. Potem ta gęstość gwałtownie maleje. Ludzie chcą mieć blisko do biblioteki, wtedy do niej przychodzą masowo. Dlatego najważniejszą sprawą dla rozwoju czytelnictwa jest pokrycie miasta jak najgęstszą siecią drobnych nawet punktów bibliotecznych. Dam przykład z Lublina: jak ktoś mieszka na Sławinku, to żeby wymienić książkę, musi pokonać odległość aż do ulicy Księcia Józefa Poniatowskiego. Chce mu się wyruszać na taki „rajd”? Bardzo często woli sięgnąć do galki telewizora. Nasza Biblioteka ma w Lublinie 37 filii. A powinno być ich jeszcze przynajmniej 20. I w dodatku: rozmieszczonych w sposób regularny. Bo o ile w nowych osiedlach mieszkaniowych punkty biblioteczne rozmieszczone są w sposób właściwy, to gdzie indziej, w „starych” dzielnicach domków jednorodzinnych,

zdarzają się potężne „białe plamy”. Są miejsca, gdzie rozciąga się biblioteczna i czytelnicza pustynia...

I jeszcze jedno: mówiąc o kulturze, odnośmy się zawsze z ostrożnością do statystyki. Na przykład liczba „statystycznych czytelników” mogłaby tego czy innego przedstawiciela władzy wprowadzić w błąd zadowolenie. Ale my, bibliotekarze, wiemy, że statystyczny czytelnik to nieraz także taki, który do biblioteki przychodzi dwa-trzy razy do roku, a czytelnik „prawdziwy” to taki, co przychodzi stale. I właśnie ten jest dla nas najważniejszy. Wiemy też dobrze, że w naszym społeczeństwie istnieje wielki procent ludzi, który w ogóle nie korzysta z bibliotek czy księgarń i którzy w ogóle nie czytają. I to jest chyba sprawa jeszcze istotniejsza i ważniejsza.

**M. D.:** — Także dla Narodowej Rady Kultury?

**Z. P.:** — Przede wszystkim dla niej.

**M. D.:** — A rozbudowa, modernizacja istniejących bibliotek?

**Z. P.:** — To też, oczywiście. Ale, proszę pana, dla rozwoju czytelnictwa nie są najważniejsze jakieś wspaniałe warunki lokalowe. Najważniejsze są dwie rzeczy: po pierwsze — księgozbiór, po drugie — człowiek, który bibliotekę prowadzi. Niewiele zdziałamy bez właściwych ludzi na właściwych stanowiskach.

Kiedyś, kiedy biblioteki były wynikiem działalności grupy społecznej, gdy powstawały często w trudzie i kosztem wielu wyrzeczeń ze strony miejscowego środowiska, gdy stanowiły w sposób całkiem namacalny wspólną własność miasteczka, wsi czy dzielnicy dużego miasta, bibliotekarz był zarazem aktywnym działaczem społecznym i tę jego pozycję dostrzegano i szanowano. Szanowano też bardziej książkę. W dzisiejszej dobie, gdy biblioteki upaństwowiono, zniknęły kłopoty materialne, zapewniono bibliotekom dostatki byt. Ale równocześnie biblioteki „zinstytucjonalizowały się”, ich pracowników nieraz traktuje się jak urzędników, a książki — jak coś, co się miejscowej społeczności należy od państwa. A nie: jako wspólne dobro, o które trzeba wspólnie zadbać. Oto, co mnie na co dzień intryguje: jak połączyć tamte „stare” dobre zasady z tymi „nowymi” dobrymi?



# Z glebą ojczystą

Henryk Pająk

**W**UBIEGŁYM roku, dokładnie 21 maja, minęło 50 lat od założenia Lubelskiego Związku Literatów. Tego dnia, przed pół wiekiem, przy ulicy Niecałej 6 (Sławińskiego), w lokalu szkoły specjalnej, w której Józef Czechowicz był nauczycielem, zebrała się grupa literatów z zamiarem ujęcia w organizacyjne ramy poczyniła sporej liczby pisarzy Lublina i regionu lubelskiego. Grupę tę stanowili: Józef Czechowicz, Franciszka Arnsztajnowa, Kazimierz Andrzej Jaworski, Józef Nikodem Kłosowski, Józef Łobodowski, Antoni Madej i Bronisław Ludwik Michalski. Był rok 1932: niecałe 15 lat po odzyskaniu niepodległości. Euforyczna fala patriotyzmu, mimo szalejącej recesji gospodarczej, wcale nie opadła: Czechowicz, w napisanej mowie inauguracyjnej, stwierdzał z emfazą godną poety: „Oparci o grunt, związani z glebą ojczystą regionu, pewni łańcucha przyjacielskich rąk, inaczej będziemy patrzyli w życie”. Powiało więc „Oda do młodości”, tym bardziej śmiało, że niemal nazajutrz po odzyskaniu niepodległości, w 1920 roku, Stefan Zeromski zorganizował Związek Zawodowy Literatów Polskich. Akcenty regionalne przeważały jednak w świadomości narodowej Polaków, rozdzielonych na zabory przez szereg pokoleń. Każdy region chciał mieć swoje autonomiczne związki, nie tylko zresztą twórcze, i może dlatego trzeba było wkrótce powołać zrzeszenie skupiające regionalne związki zawodowe literatów. Związki takie, przed powstaniem lubelskiego, istniały już w pięciu ośrodkach: Krakowie, Warszawie, Poznaniu, Lwowie i Wilnie.

Racje regionalizmu (tak ostatnio ponownie akcentowanego w działaniach społeczno-kulturalnych) były wówczas na Lubelszczyźnie bardzo znaczne, jeśli spojrzeć na nie pod kątem „wschodzących” nazwisk literackich oraz wybitnych animatorów życia kulturalnego.

Listę tę otwiera Bolesław Leśmian — mieszkający w Hrubieszowie, potem w Zamościu, postać nie wymaga-

jąca reklamy, choć w swoim środowisku wówczas niedoceniana. Dalej stania: nierówny Leśmianowi, lecz wybitny jako polonista licealny, poeta Adam Szczęsowski, u którego w szkolnej gazecie zadebiutował Stanisław Ciesielczuk. Leśmian i Szczęsowski przenieśli się do Zamościa, gdzie doszedł Stanisław Młodożeniec. W sąsiednim Chełmie ciśnienie życia młodoliterackiego było tak duże, że pozwoliło poloniście szkolnemu K. A. Jaworskiemu na założenie pisma literackiego „Kamena”. Zupełnie prowincjonalny Krasnostaw miał już Konrada Bielskiego, poetę Stanisława Bojaremka, prozaika i krytyka literackiego Józefa N. Kłosowskiego, późniejszego założyciela konspiracyjnej „Wsi tworzącej”.

Formalne ramy Lubelskiego Związku Literatów nie oznaczały nagłej nobilitacji środowiska. Życie kulturalne i przedtem toczyło się tu normalnym trybem. LZL nie złożył wniosku o przyjęcie do Zrzeszenia Zawodowego Literatów Polskich — dawało to znakomite korzyści, a obciążało składkami. Więcej można było obliczyć sobie po wstąpieniu do powstałego w Lublinie Związku Pracy Kulturalnej. Był już rok 1934, czas zmierzchu świetności i prężności lubelskiego oddziału, który wszak w ciągu kilku lat zdołał opublikować szereg tomów poezji swoich członków, wydać almanach poetów lubelskich i odbyć wiele odczytów, spotkań autorskich, w tym zbiorowych, jak np. udział w słynnym najeździe awangardy na Warszawę.

Właśnie Warszawa spowodowała zmierzch lubelskiego Związku. W 1933 roku przeniósł się tam Czechowicz, za nim podążyli: Arnsztajnowa, Domański, Michalski i A. Madej. Nie przedłużyły egzystencji Związku nowe nazwiska — przyjęto jeszcze Araszkiewicza, Guewę, Meisnerówną, Podstawkę, Popowskiego, Wójcika i ks. Ludwika Zalewskiego.

Większość z nich to poloniści, historycy literatury i pisarze o znikomym wówczas dorobku. Toteż Związek zajął się bardziej upowszechnianiem literatury, niż jej uprawianiem, a taki

kierunek stawał pod znakiem zapytania programowy sens istnienia Lubelskiego Związku Literatów.

Do formalnego rozwiązania nie doszło, lecz na dwa-trzy lata przed wybuchem wojny nie było już śladów organizacyjnej działalności Związku. Stawał się on przeszłością i tradycją, powracającą już tylko we wspomnieniach i utworach tych, którzy ją współtworzyli.

Wojna obeszła się z nimi nie mniej brutalnie, jak z miastem ich młodości. Czechowicz ginie w dziewiątym dniu wojny, Arnsztajnowa w warszawskim getcie. K. A. Jaworski przeszedł obóz koncentracyjny, Gralewski i Kłosowski — pracę w konspiracji. Dokonywała się też zmiana pokolenia literackiego. Konspiracyjnie, w mieszkaniu Julii Hartwig w Lublinie, spotykali się: Anna Kamińska, Zygmunt Kałużyński, Jerzy Pleśniarowicz, Zygmunt Mikulski, Igor Sikirycki.

A potem do wyzwolonego Lublina rozpoczął się gwałdzisty zlot pisarzy. Niosły ich fale frontowe ze wschodu. Lublin na kilka miesięcy stał się miastem stołecznym nie tylko dla powstającej władzy, lecz również dla odradzającego się życia literackiego, Ważyk, Szenwald, Putrament, Pasternak, Huszcza — grupa „frontowych” pisarzy ogłosiła apel do wszystkich literatów z prośbą o „stawienie się — 12 sierpnia 1944 roku w redakcji Rzeczypospolitej”. Przybyło kilkanaście osób. Wybrano komitet organizacyjny Związku Zawodowego Literatów Polskich z tymczasową siedzibą w Lublinie. Tydzień później zorganizowano w otwartym nledawami Teatrze Miejskim wieczór poezji okupacyjnej, pierwszą imprezą literacką nie wymagającą zaciemnienia i mówienia szeptem.

Na 1 września wyznaczono termin pierwszego po wojnie walnego zebrania ZZLP. Z tej okazji ukazał się pierwszy numer tygodnika „Odrodzenie”. Na zebraniu, pełnym takich znakomitości jak Jastrun, Ważyk, Przybós, Lec, Pasternak, Putrament, powołano zarząd Związku, do którego weszli m.in. K. A. Jaworski i Jerzy Ple-

śniarowicz. Prezesem został J. Przybós. Ustalono strukturę organizacyjną Związku, zachowaną po dzień dzisiejszy: podział na oddziały terenowe, z Zarządem Głównym jako władzą naczelną. Postanowiono utworzyć fundusz literacki na pomoc materialną dla pisarzy oraz organizować domy wypoczynkowe dla ludzi pióra. Pierwsza taka placówka powstała w majątku Ciechanki koło Lublina. Lublin tętnił życiem artystycznym. Odbywały się imprezy literackie, powstają nowe pisma, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, w szybkim tempie pojawiają się pierwsze powojenne zbiory poezji „Półki my żyjemy” Przybosia, „Godzina strzeżona” Jastruna, „Wojna i wiosna” Putramenta, „Serce granatu” Ważyka. Piątą pozycją z tej serii jest wybór wierszy poetów lubelskich — Hartwig, Kamińska, Mikulski, Pleśniarowicz, Piotrowski, Pleśniarowicz, Sikirycki i Zakrzewskiej.

Wkrótce zaczął się odpływ. Ruszyła ofensywa styczniowa 1945 roku, kolejno odchodzili z Lublina główni animatorzy kultury i literatury. Nie powtórzyła się jednak sytuacja miejscowego środowiska z 1933-34 roku. Pozostała grupa miejscowych pisarzy, którym duchowo przewodził Jan Parandowski i Julian Kleiner; zdołała ona z powodzeniem odbudować „stołeczne” życie kulturalne i intelektualne Lublina. Już 18 lutego powstaje w Lublinie Klub Literacki, skupiający członków ZZLP, a także polonistów i inne osoby interesujące się literaturą, krytyką i teatrem. Takie poszerzenie formuły członkostwa miało na celu głównie podtrzymanie życia kulturalnego w mieście. Poprzez wieczory i poranki literackie, odczyty i dyskusje prezentowały się tak wybitne indywidualności humanistyk, jak Kleiner, Araszkiewicz, Giełżyński, Nagrabiecki, Morełowski, Plomienicki, Parandowski i inni. Z inicjatywy Kłosowskiego zaczął ukazywać się dwutygodnik „Zdrój”, a w listopadzie 1945 r. K. A. Jaworski wznowił „Kamena”.

Niestety, Lublin nie jest już wtedy miastem „stołecznym”. Do głosu dochodzi prowincjonalizm, bezinteresowne niechęci lokalne do kulturalnych ambicji i rozmachu inicjatyw. We wrześniu 1946 roku Kłosowski zostaje zmuszony do przerwania wydawania „Zdroju”. „Kamena” zaczęła ukazywać się nieregularnie. Przeszła więc na kwartalnik, aby w 1949 roku zupełnie zniknąć z życia kulturalnego Lublina. Rozwiązano też miejscowe wydawnictwo „Lamus”.

Cóż pozostało pisarzom i wybitnym humanistom? Opuszczają Lublin: Kamińska, Hartwig, Nagrabiecki, Sikirycki, Sztudynger, Dłuska. Po wyjeździe Kleinera do Krakowa, a Parandowskiego do Warszawy, środowisko humanistyczne Lublina przestało być

## Nie wszyscy w Warszawie to kandydaci do Nobla

Dokończenie ze str. 1

— dodajmy od razu — w jego prawie czterdziestoletniej powojennej historii różnie bywało i różne zjawiska zachodziły na linii pisarzy — ośrodki dyspozycji państwowej. Nie było jednak do tego stopnia nasilonych tendencji wykorzystania organizacji piarskiej jako instrumentu gry politycznej. Szczególnie dotkliwie jest, że ten stan rzeczy nie tylko stawia w dziwnym świetle niektóre zaangażowane weń osobistości, ale szkodzi samej sprawie funkcjonowania literatury w przejawach życia społecznego.

Kontestatorzy, wyszukujący coraz to nowe przeszkody w nawiązaniu normalnej i praktykowanej dotychczas komunikacji między Związkiem a ośrodkami administracyjnej władzy państwowej, dzielą się z grubsza na dwie grupy. Do pierwszej należą pisarze renomowani, którzy już osiągnęli pewną pozycję, może i autorytet na rynku czytelniczym, ale którym sama satysfakcja autorska nie wystarcza i zamierzają dla siebie dodatkowo o aureoli ofiarnych bojowników o prawdę. Właśnie nimb się jeszcze przydał. Czy nie efektowny bowiem to gest, kiedy się swój doro-

bek pisarski, swoje kilkanaście, czy kilkadziesiąt powieści rzuca na szalę walki, „szlachetnie rezygnując” z uznania za osiągnięcia artystyczne? To prawie jak Majakowski, który pisał, że sto tomów swoich partyjnych książek podniesie jak swoją partyjną legitymację. Oczywiście — w symetrycznej opozycyjnej sytuacji ideowej.

Do drugiej grupy należą ci, którzy mają poczucie niespełnienia się pisarskiego i za pomocą owych manifestacji, gestów i póz pragną zwaloryzować swe literackie znaczenie. O dziwo, wśród nich znajduje się sporo byłych, a także zasłużonych „pryszczatych”, pierwszych swego czasu zapiewajłów realizmu socjalistycznego, zapędzających literatów do spółdzielni produkcyjnych, hut i PGR-ów. To ci, którzy niegdyś zyskali pozycję wiernym afirmowaniem żdanowszczyzny — bo inaczej nie widzieli dla siebie możliwości wejścia na plan pisarskiej widoczności — a teraz zdobyta pozycję obracają przeciw instancjom, o których uznanie tak skrupulatnie zabiegali.

Jeśli ten i ów — nie wymieniamy nazwisk — chce teraz uchodzić za nieprzekupnego Zawiszę Czarnego z Garbowa herbu Sulima, to prosimy bardzo, ale niech najpierw wystrzela wszystkich w Polsce czytelników „Wiosny sześciolatki” — zbioru wierszy wiersu

akompaniujących zadęciu schematycznej fujarki socrealizmu.

Można odpowiedzieć, że człowiek się przecież rozwija. Dobrze, ale niechby inaczej, niż chorągiewka na dachu, która pod podmuchami wiatru rozwija się również. Pisarz to człowiek spotęgowany, co jest określeniem ani przesadnym, ani megalomańskim, niezależnie od ilości piszących, którzy do miana pisarza mogą aspirować. Jak może uczęcić prostolinijności ktoś, kogo linia światopoglądowa zakreśla meander?

Sprawa jednak nie jest pozbawiona implikacji w pewnych organizacyjnych niedomaganiach Związku. Od dawna nie było w nim dyskusji — nie tylko światopoglądowej, ale nawet profesjonalnej, merytorycznej. A chyba nie do tego został powołany, by zastanawiać się, ile węgla przydzielić jakiemu domowi pracy twórczej i ile premii przyznać tegoż domu kierowniczce. Osobliwe, wybitni pisarze zjeżdżający się na posiedzenia Zarządu Głównego tak mało mieli sobie do powiedzenia w sprawie najbardziej ich dotyczącej. W tę lukę weszły tendencje politycznie opozycyjne, co przyszło im o tyle łatwiej, że nie musiały zdobywać placu. Ziemia dyskusji światopoglądowej w Związku była niczyja.

Również bardzo niechętnie związkowe władze ingerowały w sprawy dotyczące pisarskich interesów samych

twórców. Zawsze przeciw temu wyznajdywano jakieś przeciwwskazania statutowe, zawsze panowała obawa przed stwarzaniem „niebezpiecznych precedensów”, zawsze, iękroć można było zaniechanie usprawiedliwić gdzieś napisaną literą, chętnie taką możliwość wykorzystywano. Jeśli więc w koncepcji przyszłej pracy związkowej nie nastąpią zmiany w stosunku do praktyki stosowanej dotychczas, między istnieniem a nieistnieniem Związku nie będzie żadnej różnicy. Nie będzie, ponieważ administracyjno - pragmatyczno-buchalteryjne czynności z powodzeniem są do wykonania przez jakąkolwiek placówkę administracyjną, a Związek, jeśli nie będzie forum dyskusji dla piarsstwa merytorycznych, w ogóle nie zaznaczy swego istnienia.

Warto też pokusić się o przesunięcie akcentu geografii literackiej kraju w stronę ośrodków prowincjonalnych. Okazuje się, że w oddziałach terenowych jest więcej poczucia proporcji, mniej skłonności do teatralnych gestów, a często wcale nie mniej inwencji, inicjatyw i talentów. Nie wszyscy w Warszawie to kandydaci do Nobla. Jest wielu, którzy tylko dali się pociągnąć zapoczątkowanej kiedyś i nigdy nie weryfikowanej preferencji geograficznej.

Zygmunt Mikulski



w tych czasach niewygodne, zwłaszcza gdy w 1950 roku rozwiązano Klub Literacki. W ciągu następnych lat ukazało się zaledwie kilka pozycji książkowych lubelskich literatów średniego już pokolenia i zaledwie jeden udany debiut — „Opowiadania Indyjskie” Krzysztonia. Po tym sukcesie Krzysztoń szybko znalazł się w Warszawie, a za nim [Anka] Kowalska, Liskowacki, Łączkowski, Eysymontt, Markowa, Podsiad, Szymański, Kuncewicz.

Pozostali szukali sposobów reanimacji życia literackiego. Wybór padł na „Kamena”. Należało ją wznowić jako pismo Lubelskiego Oddziału ZLP, a podstawą takiej formuły stały się fundusze na koncie oddziału uzyskane za publikację kilku okolicznościowych książek, a także pewne rezerwy papieru. „Kamena” ruszyła w 1952 roku, ale jej rytm był bardzo niepewny: w pierwszym roku wznowienia ukazały się dwa numery, w 1953 — trzy, a w 1954 — dwa. Zrozumiałe więc, że akustyka takiego pisma była niewielka i wzrosła znacznie dopiero po wydarzeniach październikowych, 56 roku, aby ze zmiennym szczęściem towarzyszyć lubelskiemu środowisku literackiemu po dzień dzisiejszy, jako najstarsze obecnie pismo społeczno-kulturalne kraju, w bieżącym roku obchodzące swoje półwiecze.



Na zdjęciu stoją: Józef Czechowicz, Witold Kasperski, Józef Lobodowski; siedzą: Franciszka Arnsztajnowa, Kazimierz Andrzej Jaworski, Aniela Fleszarowa, Waclaw Gralewski. Pierwsze zebranie organizacyjne Związku w 1932 r.

Fot. Archiwum

nię zorganizowanie Zjazdu ZLP w 1964 roku (z udziałem Władysława Gomulki) oraz pierwszego krajowego Zjazdu Młodych Pisarzy. Powstał Klub Literacki Młodych, Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. Ważnym wydarzeniem było powołanie Muzeum im. J. Czechowicza w 1968 roku, placówki łączącej z powodzeniem szerokie ambicje popularyzatorskie z gromadzeniem spuścizny literackiej lubelskich pisarzy oraz dokumentów związanych z dziejami środowiska literackiego.

Dokonuje się także kolejna „zmiana warty” pokolenia literackiego. Zmarli: K. A. Jaworski, K. Bielski, W. Gralewski — nestorzy życia literackiego w regionie. Odeszli też Zb. Jakubik, Zb. Stepek, Z. Jastrzębski.

Jednocześnie wylania się nowa konstrukcja najmłodszej, bardzo zdolnej młodzieży literackiej, gwałtownie zwiększającej ciśnienie potrzeb wydawniczych. Ukazują się dwa almanachy twórczości młodych „Na widnokręgu” i „Przebudzenie”, a następnie dwie serie Lubelskich Prezentacji Poetyckich, obejmujące kilkadziesiąt tomów wierszy bardzo przychylnie przyjętych przez krytykę. Młodzież lite-

racka Lublina pozyskała też dzięki Wydawnictwu Lubelskiemu nowy periodyk pt. „Akcent”, który szybko przekształcił się w świetnie redagowany kwartalnik propagujący literaturę i sztukę.

W tym kalejdoskopowym przeglądzie literackiego półwiecza Lubelszczyzny nie może zabraknąć wzmianki o twórcach ludowych. Poczynając od twórczości konspiracyjnej w pismach Batalionów Chłopskich, a kończąc na serii tomów poezji ludowej z lat ostatnich — można śmiało powiedzieć, że Lubelszczyzna stała się kolebką powojennej sztuki ludowej. W Lublinie odbył się w 1965 roku pierwszy ogólnopolski Zjazd Pisarzy Ludowych, a w rok później powstało Stowarzyszenie Twórców Ludowych, skupiające m. in. około stu pisarzy pochodzenia wiejskiego. Najwybitniejsi z nich, Jan Pocek, Stanisław Buczyński i Władysław Kuchta, to mieszkańcy Lubelszczyzny, podobnie jak M. Gień, P. Hołyszowa, A. Magdziak, J. Małek i B. Pietrak.

Dorobku i znaczenia środowiska literackiego Lubelszczyzny nie można oceniać jedynie w płaszczyźnie literackiej, miarą wydanych utworów, skalą

talentów, pozycją w literaturze polskiej. Na minione 50 lat zorganizowanego życia literackiego — mimo jego zastojów, wojennych dramatów i późniejszych okresów nieprzychylności — trzeba spojrzeć z perspektywy szerzej. Wypada docenić kulturotwórczą rolę w mieście i regionie. Prawie dwustu pisarzy, może drugie tyle innych, którzy nie uzyskali statusu członków ZLP — to w sumie ogromnie licząca się grupa osobowości twórczych, oryginalnych ludzkich, ludzi-instytucji, jak np. K. A. Jaworski, M. Bechcycz-Rudnicka, K. Bielski, W. Gralewski — że poprzestaną tylko na najstarszych, którzy poprzez swoje profesje (dziennikarze, adwokaci, nauczyciele, krytycy teatralni, działacze kultury, plastycy, a nawet urzędnicy) wywierali dziesiątki lat rozstrzygający wpływ na tętno życia kulturalnego regionu i kraju, kształtowali jego specyfikę, regionalny smak, aż po anegdotę, plotkę, skandaliki i kawiarniany blizny.

Ta aura, ten wpływ ludzi wyróżniających się nie tylko skalą literackich dokonań, lecz stanowiących elitę intelektualną swojego środowiska, to także część polskiej kultury i sztuki, jej regionalnej indywidualności. Byłaby bez niej ta kultura jakże uboższa!

## Homage to Wrocław

Ireneusz J. Kamiński



Fot. Andrzej Polakowski

**N**ATURALNEJ wielkości postacie z „Przejścia” Jerzego Kaliny wspinają się z trudem po wewnętrznych schodach „Zachęty”, prowadzących na piętro szacownego przybytku, i jest to widok niezwykle obserwowane te szaroniebieskie figury, obciążone różnymi rekwizytami praktycznej codzienności, jak symbolicznie przekraczają ulicę Mazowiecką w Warszawie, a właściwie przechodzą pod jej nawierzchnią.

Niezwykłość tej sytuacji nie wynika przecież wyłącznie z poetyki miejsca i pamięci obserwatora premierowego „Przejścia”. Patrząc na postacie zastygłe w ruchu po marmurowych schodach, zastanawia się człowiek, dlaczego tak długą drogę musiały one pokonać, by trafić do gmachu dawnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, który od ul. Mazowieckiej oddziela raptem kilkadziesiąt metrów. Rzecz w tym, że environment Kaliny, jedna z najcenniejszych realizacji młodszego pokolenia artystów polskich, należy dziś do stałej kolekcji sztuki współczesnej Muzeum Narodowego we Wrocławiu i stamtąd właśnie przyjechała do stolicy jako swoiste wprowadzenie do wielkiej wystawy (styczeń—luty) dzieł owej instytucji w „Zachęcie”. A przecież, zdawałoby się, „Przejście” powinno trafić do zbiorów jakiejś placówki warszawskiej, choćby tej, która znajduje się przy al. Jerozolimskich. Ostatecznie zaistniało w stolicy, w konkretnym jej miejscu, i otrzymało prestiżową nagrodę, przyznawaną przez tutejszych krytyków sztuki.

A jak wytłumaczyć fakt, że w kolekcji wrocławskiej — obejmującej m.in. prace Jerzego Beresia, Władysława Hasióra, Tadeusza Kantora, Jana Lebensteina, Jerzego Nowosielskiego, Jerzego Roso-

łowicza, Henryka Stażewskiego, Jonasza Sterna, Jerzego Tchórzewskiego i kilkadziesiąt innych najwybitniejszych artystów polskich — znajduje się aż 17 realizacji Włodzimierza Borowskiego, z których kilka możemy oglądać w „Zachęcie”?

Przypomnijmy: Borowski urodził się w Kurowie, krótko studiował historię sztuki KUL, należał do elity grupy „Zamek”, a Lublin opuścił w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, już jako artysta znany i ceniony za realizacje przewrotnie przedmiotowe, zwane przezeń „Artonami”, „Manilusami” i „Niciowcami”, które właśnie — powstałe w latach 1958—1967 — znalazły się w stałych zbiorach wrocławskiego Muzeum Narodowego. Obok szlachetnej zaskórki fakt ten może chyba powodować kolejne pytanie: dlaczego lubelski (!) fragment dorobku Borowskiego nie znajduje się dziś w miejscu, teoretycznie rzecz biorąc, najwłaściwszym, czyli w naszym Muzeum Okręgowym, które posiada zaledwie cztery prace artysty, wykonane około 1960 roku i wtedy też zakupione?

Otóż: nie wiem. Wiem natomiast, jakim „cudem” muzeum wrocławskie weszło w posiadanie tak licznej zbioru tego artysty. Fabularyzując nieco sytuację, lecz wiernie trzymając się faktów, informuję, że było to tak: „Czołem Włodek, przyjechałem do ciebie nysą, stoi przed domem, bierzemy, co masz i co zechcesz sprzedać. Pośpieszmy się tylko, bo z Warszawy do Wrocławia kawał drogi!”

Dokończenie na str. 9

**Jerzy Nowosielski**  
- „Kobieta z gór”

**Kamena**

5



**B**YŁO to najdawniejsze wspomnienie Edwarda Matusika. Pierwszoplanowy motyw stanowiły szerokie, białe schody z niską kolumnadą po bokach, zważające się ku górze. Na ich szczycie stała błękitnawa, nieruchoma postać kobieca, widziana z dołu, wyniosła i pogardliwa w zastygłej posagowości. Skądś, z lewej strony padało światło — dyskretne, przyémione, rzucające ten obraz. Co on oznaczał? Edek z początku nie umiał sobie wytłumaczyć jego sensu.

Wreszcie po latach odczytał ukryte znaczenie tej niemej i statycznej sceny. Po prostu któregoś dnia musiał, jako małe jeszcze dziecko, zawędrować samotnie pod dwór, choć było tam od szkoły dość daleko. Schody prowadziły na podjazd okolony różnymi drzewami, zaś błękitną postacią była na pewno dziewczynka lub starsza pani.

Może pod wpływem opowiadań rodziców chłopiec zmniejszył na swoim rysunku dwór, trochę go przesunął w prawo i z drugiej strony umieścił jeszcze obskurne czworaki — długi, parterowy budynek z szeregiem drzwi, niezgrabny klocek.

Po pewnym czasie w oknach czworaków postawił Edward czerwone pergolony i ożywił w ten sposób trochę tę szarą nijakość, odbijającą zgrzytliwym dysonansem od białozielonego, wspaniałego pałacyku. Teraz z kolei zabrakło barwnego odpowiednika z prawej strony obrazu. Trzeba dać jakiś gorący kolor. Wtedy nasunęła się Edwardowi nieoczekiwanie ta właśnie myśl — pożar dworu. To on może się odbijać krwistymi refleksami w szybach czworaków. Powinno tu być wiele odmian czerwieni. W prawej części obrazu umieścił więc Matusik nieregularne, krwiste żółto-pomarańczowe i żółte jezory, powiększył te same akcenty w czworacznych oknach, wszystko zaś spowił w czarno-szarą chmurę dymu. Błękitna postać na szczycie schodów poróżwiała i jeszcze bardziej znieruchomiła w tragicznym geście rozpacz. Obraz stał się straszny. Edek poczuł wewnętrzny dreszcz i zaczął płakać. W tym dramatycznym kształcie wyobrażenie to mocno wryło się chłopcu w pamięć.

Edward nigdy nie ośmielił się namalować tego naprawdę. Obraz był tylko grą jego wyobraźni.

Staroń i Edward wzięli ze sobą sztalugi polowe, płótno na blejtrachach, pędzle i farby. Wyruszyli wcześniej, o szóstej rano. Do Białegostoku chcieli dojechać międzynarodową trasą. Pogoda była słoneczna. Zapowiadał się upalny dzień.

Za Wyszkwodem zauważyli z daleka dym, a potem płomień. Gdy podjechali bliżej, zobaczyli, że samotną chałupę, stojącą w pewnej odległości od innych domów, ogarnia pożar, który szybko się rozprzestrzenia na niekniętą jeszcze ogniem część budynku. Kręciła się tam gorączkowo i nieopornie kobieta, rozpaczając i zalamując ręce. Zauważyli, że próbowała dostać się do środka chałupy, ale zaraz się cofnęła. Zatrzymali się. Zobaczywszy ich, kobieta zaczęła głośno krzyczeć:

— Ratunku! Tam są dzieci!

Wyskoczyli z samochodu. Zar nie pozwalali zbliżyć się do chałupy. Zawahali się. Po krótkiej chwili Edward rzucił się w stronę drzwi. Zagroziły mu drogę płomienie. Zasłoniwszy twarz połą marynarkę i rękami, wdarł się do środka. W pierwszej izbie ogień ogarnął sprzęty. Nikogo tu nie było. Zar niemilosiernie parzył, dym grył w oczy. W drugim pomieszczeniu przy płonącym już oknie stało dwoje rozplakanych, krzyczących dzieci. Edward, nie bacząc na to, że pali się na nim ubranie, a ogień parzy ręce, wywalił szyby wraz z ramą. W następnej chwili wyrzucił dzieci na zewnątrz. Potem usiłował sam się wydostać, ale poczuł potężne uderzenie i stracił świadomość.

Ocknął się dopiero w jakimś obcym pomieszczeniu. Prawą rękę miał uszytnioną i zabandażowaną. Czuł w niej szarpający ból. Lekarz opatrywał mu jeszcze stłuczenia i poparzenia.

— Gdzie ja jestem? — zapytał.

— Na stacji pogotowia ratunkowego w Wyszkwocie.

Gdy lekarz wyszedł, Edward dostrzegł Mariana Staroń.

— Co się stało?

— Wyratowałeś dzieci z płonącego

budynku. Jesteś połączony i poparzony. Spadła na ciebie płonąca belka. Ale cię wyciągnęliśmy.

— Co z tą moją ręką?

— Na pewno jest polamana i zgnieciona. Dokładniej zbadają cię w klinice w Warszawie.

## Z dziennika Ewy

Edward wrócił do domu dopiero o pierwszej w nocy. Był pijany. Starałam się go rozebrać, ale odpychał mnie.

— Przeszłaś się mną zajmować! — krzychał. — Nienawidzę życia! Nie chcę być dla was ciężarem!

Na szczęście od poniedziałku zachowuje się spokojnie i wytrwale ćwiczy lewą rękę. Przy rysowaniu podkłada pod karton kawałek sklejski lub płyty pilśniowej. To wszystko przytrzymu-

— Ewuniu, przepraszam cię. To wszystko na nic.

— Przecież już ci idzie lepiej — zaprzeczyłam gorąco. — Próbuj. Musisz próbować. Na pewno będziesz jeszcze dobrze malował.

Walczyliśmy z mamą o Edwarda uporczywie. Musimy, musimy zwyciężyć. Cieszymy się każdym nowym krokiem na tej na pewno długiej drodze.

W ostatnich dniach namalował obraz. Pierwszy, który skończył od wypadku. Wydaje mi się dobry. Odkąd wtargnęłam w dziwny świat jego sztuki, w momentach, gdy mi się spodoba jakiś jego praca czuję wewnętrzny dreszcz. Czyżbym stała się wrażliwsza na wartości estetyczne?

Spokój Edwarda nie trwał długo. Po chybionej, jego zdaniem, próbie malowania wczoraj przed południem wy-

uważyłam, że żadne racje nie przekonują Edwarda, sięgnęłam po ostateczny, emocjonalny argument.

— Ale ja cię kocham. I chcę być z tobą, nawet gdybyś był bardzo i nieuleczalnie chory.

Pocałowałam go.

— Poza tym jesteś potrzebny Piotrusiowi — ciągnęłam dalej po chwili przerwy. — Podobno go kochasz. Jak mógłbyś bez niego wytrzymać? A i Iwonka jest do ciebie przywiązana.

Widziałam, że słowa moje sprawiły mu radość. Przez następne dni do tej sprawy nie powracał.

Z Edwardem znów zaczęła się dzieje. Chodzi zaszępniony, milczący, niewiele pracuje. Trwa to od poniedziałku, a więc dopiero, czy aż cztery dni.

Wraz z tymi objawami powrócił mój niepokój. Kiedy Edward dokądś wyszedł, zajrzałam do pracowni. Stwierdziłam ze zgrozą, że jeden z najnowszych jego obrazów, który mi się szczególnie podobał, został zniszczony. Był to nadwiślański pejzaż z płaczącymi wierzbnami i łodziami na wodzie, bardzo kolorowy. Edwardowi udało się tu uzyskać efekt tak zróżnicowanej zieleni, że od prawie czerni poprzez ciemny i jasny brąz przechodziła ona niemal w żółć. Obraz ten był niezwykle nastrojowy. Emanował z niego jakiś nierealny już spokój, kształty i barwne plamy spletały się w harmonijną całość.

Gdy zobaczyłam, że ta praca leży w strzępach, dosłownie załamalam ręce i rozbeczałam się.

On pracuje dużo i wydajnie. Ostatnio namalował między innymi dziwny obraz. Znajdują się w nim takie motywy, których nigdy dotąd do swoich prac nie wprowadzał. Jest tam jakiś płonący gmach, na schodach z toczonymi kolumnkami, stoi kobieca postać z uniesionymi w górę gestem rozpacz rękami, wokół jest pełno rozmaitych drzew, a z lewej strony długi, parterowy budynek, w którego małych okienkach odbija się luna. Edward zdaje się do tej pracy przywiązywać dużą wagę. Na mnie wywiera ona trochę niesamowite wrażenie, nawet nie wiem dlaczego.

Zapytałam wprost Edwarda, co oznacza ten jego obraz, którego obojętnie nie lubię. Powiedział, że praca jest związana z najdawniejszymi wspomnieniami. Niewiele mi to wyjaśniło. Znam dobrze dzieje życia swojego męża. Wiem, że w najmłodszym dzieciństwie mieszkał wraz z rodzicami — nauczycielami na wsi. Skąd jednak pożar? Mama nie umiała mi tego wyjaśnić. Ten obraz intryguje mnie i niepokoi.

Znowu ośmieliłam się go indagować na temat tego pożaru. Wyjaśnił mi, że jest to obraz, który powstał w jego dziecięcej imaginacji i którego nigdy nie namalował. Sam pałac, ogród i budynek czworaków wziął z rzeczywistości, choć je trochę przekształcił.

Edward zaczyna mnie niepokoić. Stworzył już trzy obrazy z motywem płonącego pałacu, każdy nieco inny. Pierwszy był w blasku pełnego dnia, drugi o wschodzie słońca, trzeci zaś w nocy. Zwłaszcza ten ostatni jest dla mnie niesamowity. Złocisty księżyc; żółte iskierki gwiazd; granatowe niebo; krwistoczerwona i pomarańczowa luna; pałac spowity w kłęby dymu i języki ognia; ciemne, milczące, groźne w swojej wymowie czworaki z refleksami pożaru w małych oknach; niemal czarne, nieruchome, jak gdyby przerażone drzewa o rozmaitych kształtach, oświetlone od strony ogarniętego płomieniami budynku; zastygła w geście rozpacz postać na schodach z toczonymi kolumnkami — wszystko to działa na mnie niezwykle silnie, budzi jakiś nieokreślony lęk.

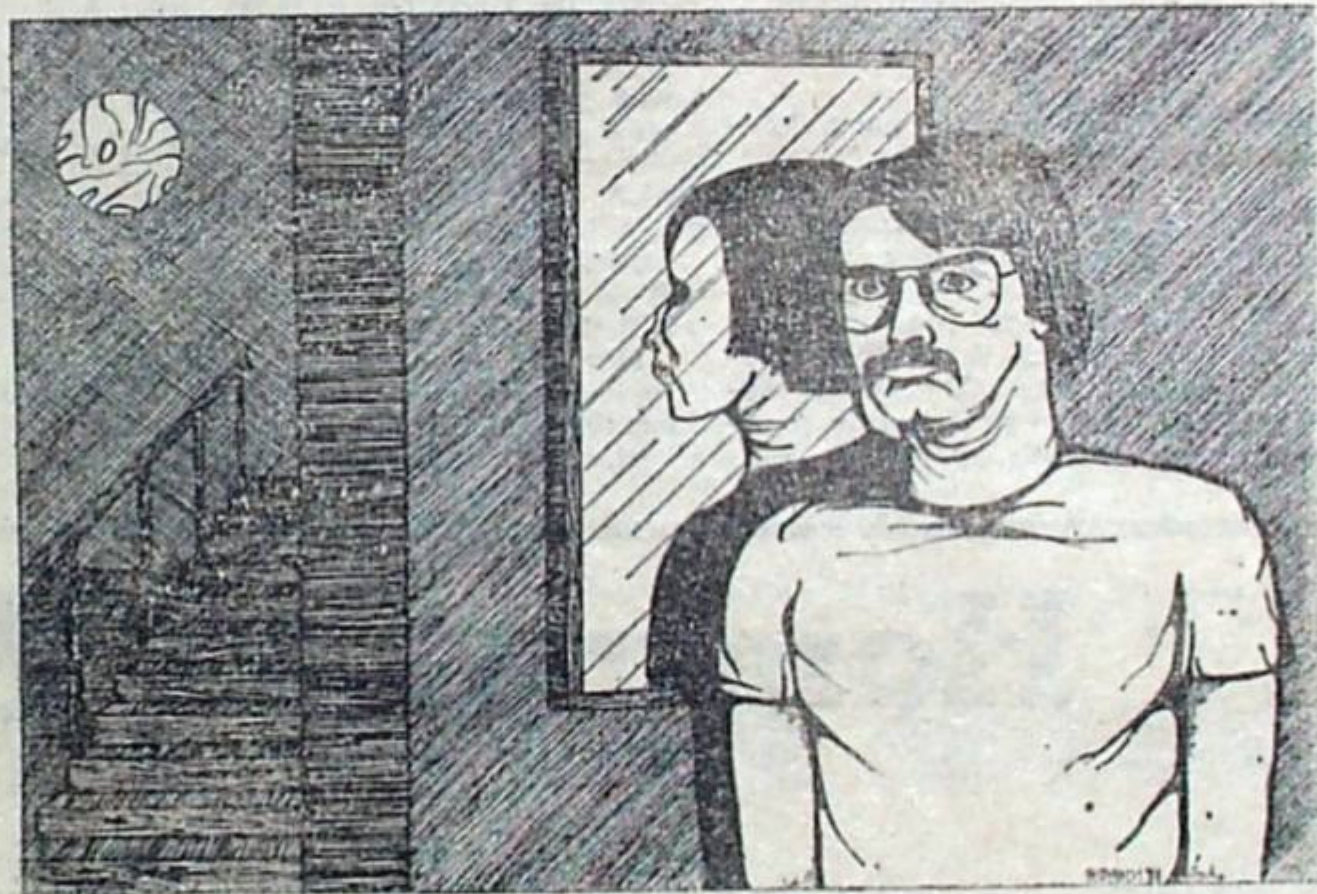
Gdy Edward wychodzi z domu, a ja nie mam akurat dyktura w aptece, idę do pracowni i wpatruję się przez godzinę lub dłużej w ów naktur z płonącym pałacem. Nie lubię go, nawet nie noszę, wywołuje we mnie dziwną, bezprzeżywaną obawę, ale jednocześnie przyciąga. Potrafiłabym patrzeć nań w nieskończoność.

Obrazy z motywem pożaru niepokoją mnie także z innego powodu: oto boję się o Edwarda. Dlatego tak obsesyjnie maluje ostatnio po wielokroć tylko ten pejzaż?

Edward tworzy nową wersję pożaru pałacu. Geometryzowane, uproszczone formy spowija męła — chyba dym. Dzięki temu kształty są zatarte, rozmute. Jest to również naktur, ale bardziej pastelowy, poniedziałkowy — mniej realistyczny niż ów poprzedni. Robi wrażenie dziwniej wzięty z pogra-

# PEJZAŻ Z OGNIEM

Zbigniew Kościński



Rys. Marian Rybicki

je na kolanach protezę. Przy malowaniu nie ma tego problemu, bo płótno na blejtrachach czy płyta pilśniowa dobrze są uocowane na sztaludze. Za to ma więcej zachodu z wyciskaniem farb i z ich mieszaniem. Edward nie może trzymać w ręce palety, toteż leży ona obok na stoliku wraz z pędzłami.

Jeśli jestem w domu, wpadam dość często do pracowni. Edward gniewa się o to, ale ja zawsze znajduję jakiś prawdziwy lub zmyślony powód. Nie wiem, czy mąż udaje, czy naprawdę wierzy w moje usprawiedliwienia, w każdym razie dzięki temu ostatecznie toleruje te wizyty. A to jest dla mnie najważniejsze.

Dzisiaj, gdy przed wieczorem przyszedłam do pracowni, zobaczyłam porwane kartony i poszarpane płótna. Edward siedział na stoleczku ze zwiędłą głową. Poczulałam, że żal ścisła mi gardło.

— Co się stało, Edziu?

Nie odpowiedział mi, nawet nie unosił głowy. Gdy powtórzyłam pytanie, spojrzal na mnie. Oczy miał zmęczone, apatyczne. Po chwili powiedział:

szedł zaraz po obiedzie z domu. Chciałam pójść z nim lub go zatrzymać, ale ani jedno, ani drugie mi się nie udało.

Wrócił wieczorem podпиты. Z początku nie się nie odzywał, potem zaś zaczął płakać. Po raz pierwszy widziałam go w takim stanie. Kolacji nie jadł. Gdy położył się, siadłam przy nim na łóżku. Przyciągnął mnie do siebie tą swoją zdrową ręką z taką siłą, jakiej się po nim nie spodziewałam. Zawsze dotąd był w tych sprawach delikatny. Teraz ścisłał mnie mocno, szarpał za ramiona. Pozwalałam mu na te bolesne pieszczoły bez sprzeciwu. Wreszcie wziął mnie pośpiesznie, gwałtownie, nieco brutalnie.

Gdy już leżeliśmy obok siebie, zaczął mówić. Brzmiało to mniej więcej tak:

— Musisz sobie ułożyć życie. Przecież nie będziesz się cały czas męczyć z kaleką, który nie jest zdolny do pracy. Na Piotrusia będę dawał, ile trzeba. Na pewno na to zdołam zarobić.

Głos mu się urywał, stawał się chwilę si chrapliwy.

W środę powróciłam do tej poniedziałkowej nocnej rozmowy. Gdy za-



nica jawy i snu. Budzi nastrój podobny do tego, jaki wywierają obrazy nadrealistyczne, jednak kontrasty motywu i barw nie są tu tak ostre. Niektóre z nich w o wiele mniejszym stopniu w porównaniu z wcześniejszymi nakturami.

Zaczynam go rozumieć. Myślę, że w ten sposób chce utrwalić wyrosły z dziecięcej imaginacji obraz, wyrzucić z siebie obsesję, która od lat mu towarzyszyła, zubożenić i unicestwić ją. Może odegrał tu jakąś rolę i ten drugi, tym razem prawdziwy pożar, który stał się przyczyną naszej tragedii?

Był u nas Jerzy. Obydwa nakturę pożaru znalazły w jego oczach uznania.

Te obrazy Edwarda na temat pożaru nie dają mi spokoju. Już teraz nie chodzi o męża, nie boję się o niego. Po prostu motyw płomieni przesładowuje mnie dosłownie na każdym kroku. Ciągle o nim myślę. Dziś w nocy nawet mi się przetrzął.

Byłam sama wśród wielkiego pola porośniętego dojrzewającym, falującym zbożem. Szłam, kładąc ręce na kłosach w ten sposób, że ześlizgiwały się w trakcie mojego ruchu po palcach i dłoniach. Czulałam dokładnie lekkie laskotanie. Byłam w błękitnej, długiej sukni. Nagle ujrzałam znany mi z obrazu Edwarda pałac ze zwożającymi się ku górze schodami, drzewa w ogrodzie i budynek czworaków. Widziałam to wszystko z daleka, jak gdyby z jakiegoś wznieślenia. W pewnym momencie zauważyłam, że pałac spowija ją kłęby dymu, a po chwili zobaczyłam czerwono-żółte języki ognia. Wtedy przebudziłam się. Leżałam długo, zanim ponownie zasnąłam.

Sen opisany przeze mnie powtórzył się z piątku na sobotę w nieco zmienionym kształcie. Nie było już pola zboża. Znalazłam się nagle przed schodami płonącego pałacu, obudowanymi małymi kolumnkami balustrady. Rozróżniałam drzewa w parku: dorodne topole, lipy, jakieś ni to tuje, ni to cyprysy. Z boku stał niezgrabny klocek czworaków, w którego okienkach odbijał się blask pożaru. Chciałam wejść na schody, bo musiałam coś koniecznym wziąć z płonącego budynku, ale sama nie wiedziałam co. Nogi mi jednak jak gdyby wrosły w ziemię — nie mogłam ich poruszyć z miejsca. Słyszałam trzask i huk płomieni, czulałam, jak parzą mi z daleka całe ciało. Zna pałacu wybiegl Edward. Miał obydwoje zdrowe ręce. Chwylił mnie w pół, zarzucił sobie na ramię i poniosł w stronę jakiegoś jeziora, które iskrzyło się między drzewami. Na tym sen się skończył.

Dzisiaj przed południem Edward malował motywy kazimierzowskie, my zaś lażiliśmy trochę w okolicach rynku. Podeszliśmy pod zamek, potem sama wdrapałam się na Górę Trzykrzyską. Edward maluje chętnie i dużo. Nawet nie dostrzega się, że zamiast prawej ręki ma protezę. Poszedł na rynek kazimierzowski, żeby trochę pomalować. Nadal urzeczony jest tym miasteczkiem i mnóstwem interesujących motywów.

Cieszę się, że Edward nie myśli już o swoim kalectwie. Maluje prawie tylko, ile w najlżejszych okresach przed wypadkiem. Nie umiem wprawdzie obiektywnie ocenić, czy ostatnie obrazy reprezentują podobny poziom, mnie się jednak podobają. Nie ma w nich filozofowania. Są barwne, nastrojowe.

Jest pogodnie i słoneczne popołudnie. Ciepło. Różnobarwne kwiaty na kłombach i rabatach cieszą oczy. Cicho brzęczą parczoly. Pachnie miodem. Zapominam o codziennych kłopotach i zmartwieniach. Jest dobrze.

A jak będzie jutro?

Było to najdawniejsze wspomnienie Matuszka. Wcześniej odczytał ukryte znaczenie niemej i statycznej sceny z dzieciństwa. Nie w myślach już, ale na płótnie w oknach czworaków postawił czerwone pelarsonie. Teraz z kolei zabrakło barwnego odpowiednika z prawej strony obrazu. Wtedy nasunęła się Edwardowi nieoczekiwanie ta właśnie myśl — pożar dworu. Umieścił więc nieregularne, krwiste, pomarańczowe i żółte jezory. Powtarzał te same akcenty w czworaczkach oknach. Całość spowiał w czarno-szara chmurę dymu. Błękitna postać na szczycie schodów poróżniła i jeszcze bardziej zneruchomiała w trzęsącym gałęzi rozpaczy. Z obrazu emanowała groza.

Edek poczuł wewnętrzny dreszcz i jak już kładł mu się w podobnej chwili zdarzyło, zapłakał.

Są to fragmenty powieści pt. „Przez mgłę”, która ukaże się w tym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

## Zofia Luchowska -Kuna

### NASZ SYN JEST MÓJ

Maciejek  
to już dorosły  
mężczyzna.  
Pojawił się przed  
rokiem prawie.  
W samo południe,  
w towarzystwie  
sypiącego liśmi  
października.  
Zna kilka najprostszych  
słów i gestów.  
Jeszcze nie kłamie  
i czasem nie wstydzil się  
głośno płakać.  
Politycznie jest dojrzały.  
Społecznie jest obywatelem  
poza wszelkimi kartkami.  
Widzę, że rosną mu  
siłne ręce

i zęby na razie młeczne,  
ale : tak przegryzie  
pępowinę, której mu  
dobrze nie odciepli.  
Teraz jeszcze trzyma się  
mojej sukienki.

Jadwin Leżyna

### POPÓLUDNIE ZE SOBĄ

W...  
z własnym lękiem  
przy boku  
można znaleźć klucza  
do swoich lez  
Pióro i zeszyt  
przycisnąć do siebie  
jak kochanka  
i roztopić się  
w tej rozkoszy

W takie popołudnia  
niczego się nie pragnie  
Niemoc przenika ciało

opustoszałe i martwe  
Nie widać końca przegranej  
ani szans na jutro  
Pot kreśli na czole  
linie zmęczenia  
Niezdolnie cyka zegar

Halina Grzeszata

### TO DOBRZE?

Jeszcze szum sosen  
tej nocy bezsennej  
Jeszcze szum wiatru  
i deszczu szepci cichy  
Jeszcze czuję w powietrzu  
słony smak lez  
Jeszcze wiatr  
Jeszcze deszcz  
Jeszcze czuję  
Jeszcze trwam  
to dobrze

## Ewa Drzewiecka-Marcińczak

nie dzwoń do mnie w chwili blahej  
lecz wtedy gdy nagły niepokój rozetnie cię  
lękiem a powietrze stanie się zbyt ciężkie  
ażeby nie zabolal oddech kiedy chciałbyś  
lkać albo milczeć otulony miętko  
szepem moich dłoni zdrwoń kiedy  
przyjaciel zdradzi cię z twoją żoną  
gdy zabiorą ci syna i nauczą zabijać  
kiedy znajdziesz pierwszy w życiu bursztynowy  
kamień obraz namalujesz — kiedy  
wybudujesz dom albo wyciosasz wiersz  
kiedy srebrnożewym schyłkiem nocy  
braknie ci filiżanki mocnej kawy  
tylko proszę nie dzwoń w chwili blahej

bardziej cicha niż bezdech  
wtarta w szarość dni  
na zewnętrznej stronie twego łęku  
potrafię już zatrzymać czas bólu  
dłonią wyciągniętą w rozpękniętą ciemność

## Renata Próchniewicz

Pierwszy krok walca stawiam niezdarnie  
Przyswajam ruchy i słowa Matki  
Drugi odważny  
Już śmieiej wchodzę w rytm dyktujący  
Zyciowy taniec

rozerwać ciężką noc ogniem papierosa  
czekać  
aż przyjdiesz rozsuniesz moje ciało  
i odpłyniesz spokojny  
wtulony w zakamarki mojej skóry  
i oto jestem „świętyną”  
i jestem ci ziemią  
dla mnie istniejesz  
silniejszy i prawdziwszy niż prawda  
o którą usiłujesz walczyć  
wiem —

## Ewa Dąbrowska

Niechże ci będzie wolno —  
Ty, która nie mieszkasz w ogrodach,  
Ale w miejscu określonym cyfrą...  
Niechże ci będzie wolno —  
Ty, która nie słyszysz jego głosu  
Przez bezdźwięczności rozpisane na piętra...  
Niechże ci będzie wolno —  
Ty, która tu i teraz  
Jesteś tylko wyrwanym drzewem...  
Niechże ci będzie WOLNO  
Zachować pamięć o twych innych wcieleniach.

Ale ten trzeci stawiam z wahaniem  
Patrzę jak sztywno wirują parę  
Te same kroki  
Twarzy nie widzę  
Krzyknąć nie mogę  
Tehu mi brakuje!  
Myśli zmęczone są przesycone  
Różem marmuru ścian nieskończonych  
Zimno od ubrań utkanych  
Z chłodu

## Od wschodu do zachodu

Nina Sikora

**T**O nieprawda, że wiejskie kobiety są otyłe od jedzenia, one są grube od monotonii. Wiejska sięga pamięcią ciągle do tego samego. Wstaje tuż przed wschodem, albo zaraz po nim, rozpala w piecu, szykuje strawę w pogiętych wiadrach dla zwierząt, szybko doi krowę, każdego dnia po dojeniu wchodzi w rytm, chociaż już wtedy czuje zmęczenie, ale wchodzi na taśmę czynności i tak już jest do pierwszej zmierzchowej rosy.

Wiejska kobieta najbardziej lubi ten fragment dnia, kiedy na niebie już nie ma słońca, a księżyc jeszcze opóźnia swoje przyście. Wtedy robi się cicho, drzewa w majestacie śmierci kolejnego dnia zachowują się godnie i żadnym poruszeniem liścia nie zakłócają zmierzchowego milczenia. O tej porze, rozmyte upałem zapachy ziemi nabierają mocy. Maciejka roztańcza otumaniającą woń po całym podwórku, przenika nawet ściany drewnianego domu, który ukrywa się w natrętnych, jeszcze zupełnie zielonych winogronach. Wiejskie kobiety bardzo lubią tę porę dnia. Wynoszą wtedy z domu małe stołeczki, z niedomytymi jeszcze rękami siadają na ławkach, nogi kładą na stołeczki, bo tak lepiej odpoczywają. Dłonie, które w ciągu dnia ani na chwilę nie przestały się zginać, splatają teraz nieruchomo na wypukłym brzuchu. Przedtem jeszcze zdejmują z głów chustki, słońce już nie będzie paliło, a lekki chłód, który przychodzi nie

wiadomo skąd, utuli spokojem rozpalone obolałe głowy.

Na trasie z Lublina do Puław jest dużo starych drewnianych domków, wczesnym zmierzchem siedzą przed nimi zmęczone kobiety. Siedzą nieruchomo, jakby tą niezmiennością szukowały się do świętego Piotra, ich oczy też są spokojne, patrzą w jakiś bardzo odległy pejzaż, może myślą wtedy o swojej oszukanej młodości, może o dzieciach, które mają gdzieś w mieście, a może czekają na ukrytą w którymś dniu, ale już szybko nadchodzącą śmierć. Ich zbrudzone, harde twarze z pokorą chyłą się do ziemi, to znak, że zmęczone, wiejskie kobiety zdrzemnęły się na ławkach przed swoimi domami.

Obudzone zimnym dotknięciem chłodu i laszeniem się tłustego kota podrywają się jakby zapomniali o zmęczeniu, które niechcący przysiadło w wystających tyłkach i popękanych piętach. Zegnąją się w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, zaglądają jeszcze do obory, nasłuchują przed drzwiami chlewika, potem zamykają drzwi od domu na skobel i zmagają wieczorną modlitwę. Zamykają powieki, kiedy na ustach jeszcze niedopowiedziane amen. Tak stare wiejskie kobiety umierają na całą noc, do wschodu słońca.



# Fruwający pieniądz

Dokończenie ze str. 1

Najpierw trzeba powiedzieć, w jakich warunkach zaczęliśmy wdrażanie reformy. Bez bawienia się w teoretyzowanie, najbardziej charakterystycznym było to, że nie działały podstawowe prawa rynku: 1) prawo konkurencji; 2) prawo podaży i popytu. Jednocześnie określono zysk jako podstawowy, syntetyczny miernik efektywności gospodarowania przedsiębiorstwa oraz pozostawiono w gestii znacznej części przedsiębiorstw możliwość dowolnego wpływu na ten zysk poprzez ustalanie cen na swoją produkcję. No i wystarczyło. Rynek w naszym kraju całkowicie przestał być rynkiem konsumenta, a stał się rynkiem producenta. Producenta, który dyktuje konsumentowi swoje warunki gry rynkowej, a nie odwrotnie. Zysk przestał być miernikiem efektywności gospodarowania, bo nie miał z nią nic wspólnego. Miał natomiast z polityką cenową przedsiębiorstw. Przestały one interesować się obniżeniem kosztów produkcji, bo i tak mogły sobie „odbijać” na kieszeni konsumenta. Powstała sytuacja paradoksalna, bo coś, co miało być miarą czegoś, stało się miarą zupełnie czego innego. To tak jakby postawić samochód na kołkach, włączyć silnik i śledzić wskazania szybkościomierza, który pokazuje, jak szybko „jedziemy”. Karykatura.

Jest też inny ważny aspekt. Przez trzydzieści parę lat żyliśmy w systemie nakazowym. Tak tyły przedsiębiorstwa, załogi i kierownictwa przedsiębiorstw. Ten system, niezależnie od jego oceny i chcemy czy nie, znalazł silne odbicie w umysłach. Powstał pewien stereotyp myślenia i działania, zmierzający do przechytrzenia centrality, ominięcia jej decyzji. Z tym też trzeba się liczyć i zlikwidować tego w krótkim czasie nie sposób. Wymaga to pracy, żmudnego budowania płaszczyzny porozumienia i spójności decyzyjnej na szczeblu centrum i przedsiębiorstwa. Spójności godzenia interesów indywidualnych z ogólnymi, zbiorowymi.

Te dwie sprawy, o charakterze ogólnym, rzutują na obecną sytuację. W szczegółach można to rozwijać.

— No to porozwijajmy. Powiedział pan o roli kredytodawcy, w jakiej występuje bank. Komu może dać kredyt?

— To trzeba widzieć w pewnych przedziałach historycznych. Do momentu wprowadzenia reformy gospodarczej bank w zasadzie nie mógł nie udzielić kredytu przedsiębiorstwu. Praktycznie — musiał. Do dziś jest to tak silnie zakodowane w mentalności naszych bankowców, że wielu nie może sobie wyobrazić, iż można kredytu nie dać. Rok 82 przyniósł wspomniane kryterium zysku i jak mi dyrektor pokazał, że jego firma przynosi zysk, to praktycznie też musiałem dać. Teraz sytuacja się zmieniła i o przyznaniu kredytu decydować ma efektywność gospodarowania, rozpatrywana jednak nie tylko jako zysk, ale i m.in. wzrost ilościowej produkcji. Po prostu musi obowiązywać zasada „złotówka kredytu ma przysporzyć dla gospodarki kraju złotówki produkcji”.

Zajmijmy się teraz tym, co się działo w ubiegłym roku. Przedsiębiorstwa zaczęły tak kalkulować ceny, żeby utwo-

wić w nich wszystkie koszty działalności. Wypracowywały tym sposobem zysk. Co mogły z nim zrobić? Upraszczając — dla większej jasności — mogły zysk przeznaczyć na inwestowanie, modernizację, polepszanie warunków pracy itd., albo też przeznaczyć na działalność motywacyjną, czyli rozdyponować między pracowników, w formie podwyżek, premii, nagród etc. Było też trzecie wyjście: dzielić zysk między te dwie „kieszenie”. Nagminnie było rozwiązanie drugie. Pieniądz szerokim strumieniem zalewał rynek i osiadał w postaci nawisu inflacyjnego. Jakiego to rządu zjawisko? Ano takiego, że do 300 miliardów nawisu na koniec 1981 roku — dolożono jeszcze 200 miliardów. Ponad 65% tego „co przez poprzednią dekadę!

— Dobrze, ale pan się trochę wymiaguje, dyrektorze. Czy mógł pan w ubiegłym roku powiedzieć: „NIE!”, widząc, że w jakimś przedsiębiorstwie produkcja (liczona cenami) rośnie o 40%, płace o trzydzieści, a ilościowo firma daje mniej towaru, o powiedzmy, 10%? I czy pan w ogóle odmawiał kredytu?

— W sytuacji przez pana opisanej musiałem udzielić. Szukałem natomiast producentów z wyrobami, które nie idą, zalegają półki. Wtedy mogłem odmówić.

— Dlaczego przedsiębiorstwa prowadzą taką akurat politykę? Dlaczego zmierzają do degradacji pieniądza i rynku?

— Ja bym zapytał jak to jest możliwe? Sprawa nie jest prosta a powiedziałbym złożona. Kierownictwa przedsiębiorstw znajdują się pod cholewnym ciśnieniem załóg. Jak wytłumaczyć pracownikowi, żeby zgodził się „odać” premię za cenę jakiejś modernizacji? Trudno. Poza tym każdy dyrektor chce być dobry przede wszystkim dla załogi, bo z nią ma codzienny kontakt, a nie z reformą, bytem abstrakcyjnym. Decyduje też pewna sytuacja psychologiczna. Dyrektor wie, że będzie kierował zakładem jeszcze parę lat (chyba, że go zdejmią), i chce mieć spokój, nie szarpać się. Cena jest często obojętna. Poza tym dyrektor musi myśleć, jak zatrzymać pracownika i jak mu zapłacić, żeby nie poszedł np. z budowy państwowej na prywatną, albo do innej firmy, która da więcej. Stąd się wzięła między innymi ta fontanna pieniędzy pod koniec roku. Co gorsze, wypłaty o których mówimy — posłużyć się tu sformulowaniem zawartym w „Życiu Gospodarczym” z 6 lutego br. przez M. Kowalską — odbyły się w „majestacie prawa”.

— Fontanna: ile ona wypuściła?

— Ogółem przychody ludności województwa wzrosły o 67,6% w porównaniu z rokiem poprzednim. W złotychkach wynosi to 35,2 mld. W tej liczbie: 11,8 mld z tytułu wynagrodzeń (wzrost o 46,4%), 10 mld ze sprzedaży plodów rolnych (więcej o 72,5%), 9,3 mld z tytułu świadczeń społecznych (68,7%). Najbardziej dostrzegalne były wypłaty w przedsiębiorstwach. O ile roczna średnia płaca w przemyśle wyniosła na Lubelszczyźnie 10590 zł, o tyle w grudniu — 15508 zł. Przy czym mówię tu o wartościach średnich, bo były przed-

siębiorstwa, które w grudniu płaciły po 40 tysięcy, a takich z wypłatami ponad dwudziestotysięcznymi było ponad sto.

Zupełny szal nastąpił w ciągu tygodnia, od 24 stycznia br. do 31 stycznia br. jeśli chodzi o wypłaty tzw. „trzy-nastek”. Pofrunęło z funduszu nagród 448 milionów złotych, podczas gdy rok temu za cały styczeń jedynie 6 milionów, i to nie tylko z NBP (jak dziś), ale i z Banku Gospodarki Żywnościowej. W tym okresie w zakładach panował amok. Dzień i noc wypełniano listy plac, żeby zdążyć wypłacić w styczniu, bo spodziewano się zmiany przepisów. Dzwonili do mnie dyrektorzy i chwalili się, że już zdążyli wypłacić.

— Czy miała ta sytuacja jakiś wpływ na stan oszczędności mieszkańców województwa?

— Oczywiście. O ile w 1979 roku z każdego tysiąca wypłat odkładano 47,20 zł, o tyle w 1982 roku już 128,70. Pieniądz osiadał a towaru brak.

— Musi się nasuwać pytanie: do czego to wszystko prowadzi?

— Bez radykalnych posunięć — do nikąd. Potrzebna jest żelazna dyscyplina wypłat od dołu, bo inaczej forsa będzie fruwać po ulicy. To zabieg najpilniejszy.

— Czy ma pan jakieś szczególne preogatywy wobec przedsiębiorstw?

— W bieżącym roku zysk będzie tylko „przepustką” do podjęcia rozmowy z dyrektorem. I to niekoniecznie o kredycie. O kredycie będziemy rozmawiali po dokładnej analizie jego gospodarki na dziś i na jutro. Słowem o miernikach obiektywnych (takich jak wzrost ilościowej produkcji, zysk osiągnięty w drodze wzrostu efektywności gospodarowania, a nie o „szkleniu” cenami. O kredyty będzie w tym roku znacznie trudniej.

— I wzrosną różnorodność nacisków na bank...

— Z tym się liczymy.

— Czy przedsiębiorstwo, które wypracowuje „zysk”, a nie dostanie u pana kredytu, będzie miało możliwości odwoławcze?

— Praktycznie nie.

— To nie boi się pan, że będzie sobie próbowało radzić inaczej? Bez pana?

— Jego sprawa. Już mamy nawet takie przykłady. Przedsiębiorstwo mówi handlowi: daj mi zaliczkowo 10 milionów, bo nici z towaru. I handel daje. Ale to się skończy...

— Ciekawe jak?

— Handlowi powinno się robić w tym roku nieco „cieplej”. Pojawiają się pierwsze towary niechodliwe. Zeby daleko nie szukać na przykład — kompot po 180 złotych za słoik, drogie i kiepskie szampony itd. To się będzie odkładać.

— Powiedzmy, że tak będzie. Co jeszcze powinno się zmienić?

— Tragedią jest bardo duży udział sfery nieprodukcyjnej w ogólnej liczbie zatrudnionych. W żadnym rozwiniętym kraju byłoby to nie do pomyślenia. Mało tego — pensje urzędnicze rosną niekiedy szybciej niż zatrudnionych w produkcji. W jednym z przedsiębiorstw naszego województwa pracowników nieprodukcyjnych awansowano w roku 1982 dwukrotnie na kwoty 1800 zł — a produkcyjnych raz — na kwotę 600 zł.

Mam też nadzieję, że zaczną w końcu bankrutować u nas przedsiębiorst-

wa. Przed wprowadzeniem reformy zanosiło się, że będzie ich kilkadziesiąt, może kilka tysięcy. Padł nawet na tych „nieopłacalnych” błąd strach, ale szybko przeszedł wraz z dowolnością stanowienia cen i tworzenia struktur ponad przedsiębiorstwami, które niby to nie są dawnymi zjednoczeniami, a faktycznie są, i nie dadzą tym nieudacznikom gospodarczym zrobić krzywdy. W tym miejscu też się reforma zacięła.

Paradoksalna jest również sytuacja na rynku pracy, bo to praca szuka ludzi, a nie odwrotnie. Tylko w naszym województwie mieliśmy 3498 wolnych miejsc pracy na koniec grudnia ubiegłego roku, a na koniec 81-go jedynie 882. Zarejestrowanych w wydziale zatrudnienia mamy 75 mężczyzn i 243 kobiety (przed rokiem odpowiednio 330 i 665). To jest, widzi pan, skala problemu. Nie może być mowy o szarunku do pracy, jeżeli nie ma ludzi na nią oczekujących.

— Opowiada pan „dziwne” rzeczy. Chciałby pan, żeby przedsiębiorstwa płaćowały, a ludzie chodzili bez pracy?

— W aktualnej sytuacji gospodarczej kraju dokładnie tak. Nie można wdrażać nowych mechanizmów gospodarczych i ekonomicznych tak „w ogóle”. Muszą być one przejrzyste dla każdego członka społeczeństwa, a będą, jak odczuje to na własnej skórze. I to nie są jakieś krwiożercze ciągoty. Popatrzmy na Węgrów, na przykład. Czy im się to rozumienie i akceptacja reformy wzięły z nieba?

— Najprawdopodobniej — nie. Ale my się podobno na nich wzorujemy?

— Proszę pana, ja jakoś nie dostrzegam. Jak ekonomia ekonomią, finanse finansami i bank bankiem — są tylko dwie teorie sytuacji kryzysowej. Albo dużo pieniędzy i brak w miarę taniego towaru. Albo drogi towar pod dostatkiem, a brak pieniędzy. Z dwójga złego lepsze jest to drugie, bo stymuluje do dorabiania sobie, oszczędzania. Na Węgrzech średnia płaca wynosi 4600 forintów i to jest relatywnie do cen mało, ale niemal każda rodzina węgierska jakoś próbuje dorobić. Oczywiście mam tu na myśli legalne sposoby dorabiania. Weźmy teraz odwrotną stronę medalu. Przecież na co dzień mamy dość przykładów bezsensownego wydawania pieniędzy, bo czegoś nie można kupić. Powtarzam, że zawsze lepiej mieć na rynku mniej „mocnego” pieniądza niż więcej „slabego”.

— Ponieważ nie zanosi się na nagłą zmianę sytuacji w kraju, niech pan powie, co obok żelaznej dyscypliny wypłat jest nam potrzebne?

— Żelazna konsekwencja w kontroli ustalania cen i odbierania prawa do ich stanowienia tym, którzy nie wiedzą, o co w reformie chodzi.

— A pan wie?

— Wiem, że w odniesieniu do rynku wewnętrznego reforma powinna zmniejszyć ilość pieniędzy bez pokrycia w towarze, a nie odwrotnie.

— Dziękujemy zatem za rozmowę i życzymy żelaznej dyscypliny w kontaktach z przedsiębiorstwami. Może się panu uda.

Zyczenia te moim zdaniem odnoszą się do wszystkich bankowców ale nie tylko. Dotyczą nas wszystkich.

Rozmawiał:  
Waldemar Piasecki

## EKRAN I WIDZ

### „WESTERN” O KOMANDOSACH

NA ekrany wszedł długo oczekiwany przez entuzjastów kina o tematyce wojenno-przygodowej film produkcji angielskiej „Komandosi z Nawarony”. Reżyserował go specjalista tego gatunku Guy Hamilton, twórca m. in. słynnego lotniczo-wojennego giganta „Bitwa o Anglię” (1968 r.), który przyniósł mu zasłużoną sławę i pieniądze, chociaż prawdziwym sukcesem artystycznym był powstały u początków kariery tego reżysera, w 1952 r., dramat wojenny „The Colditz Story”.

Jak jednak często bywa w wypadku artystów zdolnych i tworzących z dużą łatwością, Hamilton szybko przeszedł na pozycje typowo komercyjne, dając się poznać jako doskonały realizator filmów szpiegowskich z serii przygód Agenta 007 — Jamesa Bonda. W tym względzie można by już uznać Hamiltona za „klasyka”, który wszedł na stałe do historii gatunku: zrealizował on wczasy cztery najśrośniejsze „bondy” — „Goldfinger”, „Diamonds Are Forever”, „Live and Let Die” oraz „Man with the Golden

Gun”, „Komandosi z Nawarony” są ostentacyjnym z dwudziestu zrealizowanych przez niego filmów.

Wszystkie ekranowe dzieła Hamiltona charakteryzują się rozmachem inscenizacyjnym, niezwykle wartką akcją, drapieżnością i nieraz — brutalnością. To zapewnia im bardzo szeroką widownię, tym bardziej, że zarówno widowiska szpiegowskie jak i wojenne „westerny” mają na świecie miliony wielbicieli. Filmy w rodzaju „Dział Nawarony”, „Tylko dla orłów”, „Parszywej dwunastki” czy „Złota dla zuchwałych” wyrobiły zapotrzebowanie na dalsze, podobne im, filmowe opowieści, które przeszedł z rzeczywistością wojenną i z działaniem autentycznych komandosów nie mają zazwyczaj wiele wspólnego, podczas gdy na przykład takie obrazy jak „Bitwa o Midway”, „Najdłuższy dzień” czy wspomniana już „Bitwa o Anglię” posiadają ambicję przedstawienia autentycznych wydarzeń historycznych, tyle że w nieco „podebeletryzowanej” formie.

Nie można przy tym pominąć faktu, że początek owej serii wojennych „westernów” dały słynne „Działy Nawarony”, oparte na książce pisarza brytyjskiego Allstaira MacLeana, oraz szereg następujących adaptacji filmowych kolejnych książek tego bardzo płodnego i niezwykle na całym świecie poezyjnego autora. Allstair MacLean napisał 15 książek i wszystkie one (co jest wczesnym dotąd niespotykanym) zostały wycie-

ślone na ekran. Większość książek MacLeana ukazała się także w Polsce, natomiast oglądaliśmy tylko niektóre filmy: poza „Działami Nawarony” w reżyserii J. Lee Thompsona i ze znakomitymi kreacjami Gregory Pecka oraz Anthony Quinna, widzieliśmy jedynie „Tylko dla orłów” Briana G. Huttona i — prezentowaną w Telewizji Polskiej — „Siłę strachu” Michaela Truchnera. Obecnie mamy możliwość zapoznania się z „Komandosami z Nawarony”.

Film ma być jakby kontynuacją przygód komandosów, którzy niegdyś wysadzili na małej greckiej wyspce dwa gigantyczne niemieckie działa panujące nad połową Morza Egejskiego. Teraz działają na terenie Jugosławii, pomagając partyzantom marszałka Tito w walce z hitlerowcami i wysługującymi się im „czetnikami”. Oczywiście już sam tytuł jest grubym bluffem reklamowym, który po prostu odwołuje się do sentymentu widzów wobec niegdyś podziwianego przez nich filmu. Wprawdzie to dwaj dawni uczestnicy akcji na Nawarony, major Mallory i sierżant Miller — jak tego chce scenariusz filmu Hamiltona — rzucają się w wir nowych przygód, ale w „Komandosach” nie zagrał ani jeden z aktorów, którzy odtworzyli postaci tamtych śmiałków; szczególnie rozczarowuje brak Gregory Pecka i Anthony Quinna. Inna sprawa, że zagrał tutaj świetnie przede wszystkim Robert Shaw i Harrison Ford, a wło-

ruje im jeszcze Edward Fox. No i „zagrał” wspaniale cudowny krajobraz jugosłowiański, zagrała pomysłowa i dynamiczna fabuła, trzyma w napięciu naczelną problem „Komandosów z Nawarony” — sprawa rozpracowania groźnego szpiega niemieckiego, który wdarł się w szeregi jugosłowiańskich partyzantów...

Czytelnicy zauważyli, że unikam w tym felietonie hawajczyzania do treści filmu. Czynniki to oczywiście celowe, bo wszak tego rodzaju ekranowe opowieści robią na widzów prawdziwe wrażenie dopiero wtedy, kiedy zajmując miejsce na sali, nie wie się nic na temat początku, środka, a tym bardziej — zakończenia filmu. Mamy wszak obejrzeć za chwilę ekranową baśń, oddając się w czasie trwania sensu bezkrytycznie wątkowi rozsnuwanej przed naszymi oczyma opowieści.

Natomiast po wyjściu z kina warto sobie przypomnieć, że „Komandosi z Nawarony” nie mają absolutnie nic wspólnego z autentyczną działalnością operacyjną brytyjskich komandosów na terenie Jugosławii. A były to działania na tyle niezwykle, barwne i skuteczne, że warto im poświęcić osobną opowieść i zupełnie inny — choć nie mniej atrakcyjny — film.

M.D.



# O olejarniach, księżycu i skansenie

**P**O TRZECH latach przerwy czytelnicy otrzymali II i III tom wydawnictwa MWL „Z zagadnień kultury ludowej” (w jednym wolumenie) oraz tom IV — pod nowym, korzystnie zmienionym tytułem: „Rocznik Muzeum Wsi Lubelskiej”.

Cieszyć się należy, iż drugie po sarnockim skansenie muzeum tego typu kontynuuje wydawanie własnego czasopisma i to na dobrym poziomie naukowym. Należałoby tylko sobie życzyć, aby i inne polskie muzea na wolnym powietrzu poszły w ich ślady.

Tom II-III otwiera list gratulacyjny wręczony prof. dr. Romanowi Reinfussowi za służonemu „patronowi naukowemu” Muzeum Wsi Lubelskiej, z okazji 50-lecia pracy naukowej wybitnego etnografa.

Zważywszy na stosunkowo małą liczbę publikacji na temat przemysłu ludowego, zainteresowany tym zagadnieniem czytelnik chętnie przeczyta artykuł J. Góraka „Prasy do wyciskania oleju”. Tekst ten jest zapewne częścią większej całości, co by tłumaczyło stwierdzenie autora, iż prezentuje oto „pierwszą próbę syntetycznego ujęcia zagadnienia olejarni wiejskich w polskiej literaturze przedmiotowej”, gdy tymczasem J. Górak skupia się przede wszystkim na technicznych problemach. Niemniej, zebrany przez autora materiał posiada walor dokumentacyjny; olejarnie stanowią obecnie rzadki zabytek techniki.

W artykule „Wiedza ludowa i wierzenia o księżycu” J. Babinicz-Witucka referuje, w sposób rzeczowy i systematyczny, materiały zebrane w 80 wsiach Lubelszczyzny w latach 1975-78. Zasygnalizowana relacja, między ludową i potoczną wiedzą o księżycu, o jego wpływie na kondycję fizyczną oraz psychiczną człowieka i na organizm roślinny i zwierzęcy, a naukową interpretacją problemu przez współczesną biologię i astronomię, to kwestia ciekawa, mogąca zainteresować szerokie kręgi czytelników.

Miłośnicy sztuki ludowej będą zapewne usatysfakcjonowani studium J. Petery pt. „Kapliczki drewniane na Lubelszczyźnie”. Przejrzyście napisany, świetnie ilustrowany (niestety, jedna zamiana podpisów), artykuł ten dobrze orientuje w typach kapliczek, ich rozmieszczeniu, cechach formalnych kapliczkowych rzeźb i malowideł. Publikację kończy bibliografia, mapa oraz wykaz kapliczek w formie tabeli. Niestety, do tej ostatniej wkradła się pomyłka: rubryka 6 oznacza bowiem kapliczki skrzyniowe, natomiast rubryka 7 wnękowe, a nie odwrotnie. Dla artykułu mającego wartość dokumentacyjną bardzo ważne jest też podanie czasokresu, w którym były przeprowadzone badania. Określenie „przed kilku laty” niewiele mówi, data „1975” pod mapą wydrukowana drobnymi cyferkami, jest niewystarczająca.

Z kolei przechodzimy do kwestii zabytków i tu na uwagę zasługuje artykuł M. Kurzątkowskiego: „Problem ochrony zabytków „in situ” i doświadczenia ze sprawy zagrody sitarskiej w Bilgoraju”. Autor podsumowuje wieloletnią dyskusję na temat ochrony drewnianego budownictwa ludowego w ich macierzystym środowisku, tj. we wsiach i miasteczkach, oraz realne możliwości służby konserwatorskiej w tej dziedzinie. Ilustracją zagadnienia są starania, uwiecznione zresztą sukcesem, o zachowanie, choćby na tle „blokowiska”, typowej zagrody sitarskiej w Bilgoraju.

Tematycznie do tej publikacji nawiązuje artykuł T. Michałaka: „Tradycyjna zabudowa drewniana w koncepcji rewaloryzacji starego miasta w Łęcznej”. Prezentujący przykład działań projektowych, plan opracowany przez Lubelskie PKZ zakłada zachowanie tradycyjnej zabudowy drewnianej w kilku rejonach, łącznie z otoczeniem krajobrazowym — w ich właściwej skali. Koncepcja programowo-przestrzenna wyznacza dziedziny przede wszystkim funkcje tury-

styczne, usługowe i rekreacyjne, co niestety oznacza stworzenie turystycznego rezerwatu.

Trzecią grupę tematyczną otwiera artykuł R. Królikowskiego: „Założenia programowe Muzeum Wsi Lubelskiej w Lublinie”, w którym autor przedstawia ramowy program placówki, jej zasięg przestrzenny, zagospodarowanie przestrzenne, propozycje działalności dydaktyczno - oświatowej, działalność naukową.

W komunikacie zamykającym tom M. Kurzątkowski podaje dane ogólne o zagospodarowaniu przestrzennym terenu ekspozycji, wymienia translokowane obiekty oraz zapoznaje czytelnika ze strukturą organizacyjną placówki.

W tomie IV przeważają treści „skansenowskie”, dlatego omówię umieszczone tu artykuły nie według ich faktycznej kolejności, ale merytorycznej zawartości. Publikację otwiera artykuł R. Królikowskiego: „Wieś z Wyżyny Lubelskiej w Muzeum Wsi Lubelskiej”, w którym autor przedstawia koncepcję zabudowy ekspozycji Wyżyny Lubelskiej na tle ogólnych założeń Muzeum. O wartości udostępnionej w 1979 r. ekspozycji zdecydowała właściwa systematyka zagród wraz z ich najbliższym otoczeniem, zasygnalizowanie typu zabudowy łańcuchowej charakterystycznej dla wsi Wyżyny Lubelskiej, a także odtworzone, realne i historyczne, wnętrza zagród. Wszystko to razem stworzyło niepowtarzalny, autentyczny klimat wsi lubelskiej, bo i trochę żywego inwentarza udało się uchronić. Artykuł ten to cenny materiał metodyczny dla pracowników muzeów skansenowskich, jak również dla osób pragnących podjąć dzieło budowy muzeum pod otwartym niebem. Szkoda tylko, że urok tego naprawdę pięknego Muzeum zatracił

się w suchym, miejscami nazbyt urzędowym stylu publikacji oraz fatalnych reprodukcjach, zwłaszcza pięknych wnętrz chałup.

W Muzeum Wsi Lubelskiej planuje się budowę sektora małomiasteczkowego. Metodę pracy nad jego scenariuszem prezentuje G. Milliszkiwicz.

O metodach i przebiegu prac przy translokacji obiektów zabytkowych pisze K. Popik w artykule: „Techniczne i organizacyjne warunki budowy muzeum skansenowskiego na Sławinku w Lublinie”.

Istotnym, choć kontrowersyjnym celem skansenów jest ratowanie unikalnych obiektów architektonicznych. Jeśli nawet nie pasują do założonego programu ekspozycji. W magazynach Muzeum Wsi Lubelskiej znalazła się drewniana brama projektowana przez St. Witkiewicza w 1902 r., a prowadząca ongiś do parku otaczającego dwór J. Steckiego w Łańcuchowie. A. Kurzątkowska w artykule: „Zakopiańska brama projektowana przez St. Witkiewicza w Muzeum Wsi Lubelskiej” wprawdzie nie informuje, czy brama będzie w ogóle ekspozowana, niemniej zasygnalizowanie faktu posiadania tej konstrukcji przez placówkę daje autorce okazję do krótkiego omówienia genezy stylu zakopiańskiego, jego ideowego programu, i do przypomnienia „podhalańskich” domów na Lubelszczyźnie (w Należczowie i Kazimierzu Dolnym)...

W momencie wybudowania muzeum skansenowskiego pojawia się zagadnienie udostępnienia ekspozycji, a co ważniejsze — opracowania sensownego programu oświatowo - wychowawczego. Zbierający się co dwa lata członkowie Związku Europejskich Muzeów na Wolnym Powietrzu poświęcili, nie licząc wcześniejszych sygnałów, dwie pełne sesje (w 1974 i 1976 r.) właśnie zagadnieniom oświatowym. Wygłoszone tam referaty i komunikaty wydrukowano w organie Związku „Tagungsbericht des Verbandes europäischer Freilichtmuseen”, dobrze się więc stało, że M. Kurzątkowski zrelacjonował główne wątki tych wystąpień, przedstawił ważniejsze problemy i trudności oraz próby ich rozwiązania.

Porzuciwszy tematykę skansenową, zwróćmy uwagę na opublikowaną recenzję R. Brykowskiego z artykułu J. Petery pt. „Wiejskie dworki drewniane na Lubelszczyźnie” (Z zagadnień kultury ludowej t. I, Lublin 1978). Recenzja ta jest właściwie polemicznym artykułem, wnoszącym szereg uzupełnień do tematu i powinna istotnie ukazać się równocześnie z artykułem Petery.

Odmianą tematykę odnajdujemy w artykule L. Malickiego i A. Sujki pt. „Dawne zwyczaje w gospodarce rolniczej okolic Krzczonowa”. Niestety, wartość naukową artykułu, napisanego z wyraźnym sentymentem, osłabia brak bliższego datowania zjawisk. Przydałaby się w tym miejscu krótka nota informacyjna o autorach artykułu.

Tom IV zamyka sprawozdanie z działalności Muzeum Wsi Lubelskiej za okres I VII 1978 — 31 XII 1979 pónora Elżbiety Maj.

Anna Spiss

Z zagadnień kultury ludowej — t. II-III, Lublin 1981.  
Rocznik Muzeum Wsi Lubelskiej — t. IV, Lublin 1981.

# Homage to Wrocław

Dokończenie ze str. 5

Zdarzyło się to gdzieś w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, a jednym z bohaterów owej historii był Mariusz Hermansdorfer, który od 1972 r. kierując odpowiednim działem Muzeum Narodowego we Wrocławiu, zbudował jedną z najcenniejszych kolekcji polskiej sztuki współczesnej, w którą sensownie wpisał dokonania swoich poprzedników, przede wszystkim Pawła Banasia.

Kolekcja obejmuje około czterech tysięcy obiektów ze wszystkich dyscyplin artystycznych, a tworzą ją „dwie zasadnicze tendencje: szeroko rozumiany nurt ekspresyjny i nadrealistyczny oraz sztuka o charakterze racjonalnym, m.in. geometrycznym”.

Te słowa powinny znaleźć pilnych słuchaczy w Lublinie, gdzie od pewnego czasu usiłuje się gromadzić malarstwo metaforyczne (nadrealistyczne), nie bacząc na to, że właśnie we Wrocławiu już przy końcu lat pięćdziesiątych zainicjowano cykl wystaw pt. „Świat malarstwa metafory”, by swoja dominacją na tym polu uwierzytelnić wielką ekspozycją „W kręgu nadrealizmu”, urządzoną przez Muzeum Narodowe w 1975 roku, z okazji kongresu AICA. Taką twórczość, owszem, pozyskiwać można, ale tylko wówczas, jeśli nadbystrzyckie ambicje sprowa-

dzażą się do tego, aby miejscową placówkę zamienić w filię wrocławską. Też pięknie.

Muzeum nad Odrą, działające od 1948 roku, nie może przecież pochwalić się posiadaniem jakiegokolwiek lub bardziej reprezentatywnego zestawu plastyki realizmu socjalistycznego. Spowodowały to różne zaszłości o charakterze administracyjnym, które trudno chyba będzie odrobić. Ale w tym skromnym dziale jaśnieje, niezłym gwiazdą betlejemską z czerwoną przepaską, obraz-symbol, obraz-legenda tamtych lat, czyli „Podaj cegłę” Aleksandra Kobzdeja z 1950 roku...

Symboliczne znaczenie sztandarowego płótna realizmu socjalistycznego w Polsce nie wyczerpuje się w jego warstwie programowo-artystycznej. To spore malowidło, eksponowane właśnie w „Zachęcie”, przeszło bowiem wszystkie koleje, jakie los zgotował dziełom wykonywanym wedle wskazań Juliusza Starzyńskiego czy Juliusza Krajewskiego. Po kilkuletnim okresie chwały, złotym blaskiem spływającej na autora, obraz popadł w upokarzającą niełaszkę, stał się tematem trywialnych dowcipów, wręcz synonimem obskurantkiej głupoty „artystycznej”. W dobrych dlań czasach prezentowany w stołecznym Muzeum Narodowym, po Październiku wyeksmitowany echem został do ówczesnej

Centralnej Składowicy Muzycznej w Kozłowie koło Lubartowa — tak potajemnie, że nawet Tadeusz Dobrowolski nie spostrzegł tej zsyłki i reprodukcję „Podaj cegłę” w III tomie „Historii Sztuki Polskiej” z 1962 roku zapomniał w informację: „Muz. Nar. w Warszawie”.

W magazynach Kozłowski, strzeżonej wówczas przez dwa strasne brytany, płótno Kobzdeja widziałem w 1968 roku, przez moment nie przypuszczając, że w odległym Wrocławiu już kombinują, jakby ściągnąć ów sztandar do Muzeum Śląskiego (od 1970 r. Narodowego). Nie przyszło mi też do głowy, przyznając, że „Podaj cegłę” można by przetransportować zupełnie blisko, do Lublina, gdzie obraz byłby przecież ozdobą zbioru stosownych malowideł, jaki posiada Muzeum Okręgowe (w swych magazynach, oczywiście). A swoją drogą podziwiać wypada instynkt wrocławian, którzy płótnem Kobzdeja zainteresowali się w czasach, kiedy uprzedzenia wobec realizmu socjalistycznego były wciąż żywe, a do Polski przesączały się z Zachodu idee sztuki pojęciowej, niemożliwej, efemerycznej — tak dobitnie wyartykułowane dwa lata później, w 1970 roku, w tymże samym Wrocławiu!

Jedno mnie drażni w zbiorach muzeum nad Odrą, obejmujących prace współczesne, powstałe po roku 1945,

oraz nieco starsze, z międzywojnia, w których spostrzec zresztą można momenty ideowo pokrewne tej pierwszej grupie. Otóż Wrocław, oprócz jednego obrazu Zenona Kononowicza, dwóch konstrukcji Jana Ziemińskiego i dwóch grafik Hieronima Skurpskiego z 1945 roku — posiada trzy duże (149x246 cm) płótna Antoniego Michałaka o tematyce historycznej, prezentowane niegdyś na Wystawie Ziemi Odzyskanych, podczas gdy w muzeum lubelskim nie ma choć jednego malowidła tego artysty, który niemal pół wieku mieszkał i pracował w Kazimierzu nad Wisłą... Specjalnego smaku tej całej sprawie nadaje fakt, że dzieła artysty wierzącego w metafizyczny ład świata podarował Muzeum Narodowemu we Wrocławiu tamtejszy Komitet Wojewódzki PZPR, a kilkanaście lat później inny obraz Michałaka, bezwzględnie religijny, usunięto z kościoła akademickiego KUL (gdzie artysta długo wykładał rysunek studentom historii sztuki), dopatrując się w kompozycji jakiegoś odstępstwa od katolickiej ortodoksji ikonicznej...

Zbiory wrocławskie przekonują m. in., że do zbudowania wartościowej kolekcji sztuki wystarczy: wiedza o przedmiocie, świadomość celu, inicjatywa i chęć. A pieniądze, na których brak najczęściej narzekają muzea mniejsze, na przykład okręgowe, zawsze się znajdują.

Ireneusz J. Kamiński



# Vive Republika!

Istvan Grabowski

**K**IEDY sierpniowy numer magazynu muzycznego „Non stop” zamieścił publikację o wschodzącej gwiazdzie współczesnego rocka — Republice, mało kto przypuszczał, że właśnie ten toruński zespół uznany zostanie pięć miesięcy później najpopularniejszym w 1982 roku.

Jego pojawienie się było równie sensacyjne, jak pierwszy wielki przebój — „Kombinat”. Muzycy z Republiki udowodnili sceptykom, że mimo młodego wieku stać ich na coś więcej, niż zapatrzenie w dorobek starszych kolegów i beznamiętne dreptanie w wyślubionych koleinach rocka. Ich agresywne utwory, o dużym ładunku ekspresji, niepokoiły słuchaczy poważną problematyką tekstów, po części irtowały i prowokowały do dyskusji. Nowofalowy, nerwowy rytm, w połączeniu z jakże odmienną harmonią i gardłowym głosem lidera, przyspieszył uznanie fanów. Trzeba przyznać, że członkowie Republiki nie próżnowali. W ślad za „Kombinatem” nagrali „Gadające głowy”, „Układ sił” i „System nerwowy”. Przełomowym wydarzeniem w życiu debiutantów była rejestracja singla dla Tonpressu. Od tej pory zaczęli się liczyć. Później, już na większym luzie, nagrali album, „Nowe sytuacje”, pomysłowo i bardzo świeży brzmieniowo. Program III Polskiego Radia, zasłużony dla lansowania rocka, zarejestrował największe, jak dotąd, hity Republiki: „Sexy doll”, „Telefony” i „Biała flaga”. Kilkakrotnie ich prezentacja na antenie szybko nakręciła spiralę popularności. Republika awanso-

wała do miana najmodniejszej i najchętniej słuchanej formacji. Oczywiście, nie obyło się bez muzycznych porównań z brytyjską nową falą, choć tak naprawdę toruński ansambl jest na wskroś oryginalny.

U progu kariery Grzegorz Ciechowski jasno wyłożył swe artystyczne credo: „Chodził nam o stworzenie pewnej koncepcji całościowej, metaforycznej, która zmuszałaby ludzi do refleksji, która ingerowałaby w ich wnętrza, prowokując nowe sytuacje i struktury myślowe. Nie wyobrażam sobie grania muzyki rockowej w oderwaniu od wszystkiego, co dzieje się w nowoczesnej sztuce czy literaturze, od tego, co się dzieje w ludzkich mózgach”.

Ten nieco pretensjonalny manifest oddaje swolisty synkretyzm sztuki prezentowanej przez Republikę. Czerpiąc słownictwo z powszechnie używanego leksykonu, Republika buduje z niego zupełnie nowe, własne zdanie i opowieści. Bez wnikania w szczegółową ich analizę można powiedzieć, iż bohaterem nośnych tekstów lidera zespołu jest wyalienowany ze społeczeństwa samotnik. On jest komórką ogromnego kombinatu („Kombinat”), jego przesładują w snach anteny, przedziwne sygnały i komunikaty („System nerwowy”), on właśnie nie może rozpoznać dawnych przyjaciół („Biała flaga”), ani nawiązać z nimi kontaktu („Telefony”). Słowem — daremnie poszukuje psychicznego wsparcia u przyjaciół czy znajomych. Według założenia zespołu, Republika stanowi kraj wykonu-powany i państwo-metafory. Myślenie jest tam inne i inne są krajobrazy. Tam



Fot. Mirosław Stępnik

lasy sporządza się z machin, o których pierwotnym znaczeniu dawno już zapomniano. Są tam morza i oceany, ale zamiast wody widzi się poustawiane pod widnokrąg rzędy biur. Działania każdego z obywateli są skrupulatnie określone, a zwoje perforowanych taśm zawierają szczegółowe tysiącletnie plany. Puls wszystkich obywateli nadawany jest niewidzialną drogą przez główne biuro...

Surrealistyczna wizja „literacka” Republiki poparta jest odpowiednią muzyką, równie nerwową i niespokojną. Ton nadaje lider, grający na fortepianie i flecie. Do jego ostrych akordów dostosowuje się sekcja rytmiczna, łącząca rockowy beat z klasyczną beguiną. Solówki są tu minimalne. Brzmienie Republiki to zwarty konglomerat dźwięków; zgodnie z intencjami grupy ma on trafić do „wew-

nętrznej uwagi” słuchaczy, do nienaruszonych pokładów świadomości, do emocji i wzruszeń. W licznych wywiadach prasowych muzycy odcinają się od rockowych hasel, hippisowskich gestów i pozy gwiazd estrady. W ich przekonaniu — Republika jest pojęciem, które można odrzucić lub przyjąć. Innej alternatywy nie ma. Sceniczny chłód i świadoma rezygnacja z estradowych grepsów, tańców, świateł i dymów mogą zrazić, zdawałoby się, rockowo nastawioną publiczność. Tymczasem dzieje się inaczej! Na koncertach Republiki jest zawsze pełno i „dzieciaki” wychodzą z nich zadowolone.

A oto nazwiska czwórki muzyków: Grzegorz Ciechowski — fortepian, flet, śpiew; Zbigniew Krzywański — gitara; Sławomir Ciesielski — perkusja; Paweł Kuczyński — gitara basowa.

## „MOTOR” w Dąbrowie

— Panowie, co jest? Ta „setka” była za wolna... — mówi Lesław Cmikiewicz, spoglądając na stoper.

Pilkarze poubierani w dresy, niektórzy w welnianych czapkach na głowie, słuchają tych uwag spokojnie. Nikt nie dyskutuje, nikt nie próbuje się tłumaczyć.

— Proszę, następna grupa.

Tym razem jest lepiej. Czas 14,8 sekundy mieści się w limicie przewidzianym na przebiegnięcie po leśnej ścieżce stu metrów. Wynosi on równe piętnaście sekund. Dystans 150 metrów trzeba pokonać w 27 sekund, a dwieście — w 32. Zawodnicy biegną też serie 5 razy 60 i 80 metrów. Po każdej serii następuje trzypięciominutowa przerwa.

Specjalista odnowy biologicznej, Ryszard Sowiński, mierzy tętno wybranym piłkarzom. Krzysztof Wójtowicz ma, przykładowo, 160 uderzeń na minutę, co po takim wysiłku dobrze świadczy o wydolności organizmu.

Po dwóch godzinach w Dąbrowie „Motor” jedzie na obiad do „Stylowej”.

Szczegóły te podajemy na wyraźne życzenie P.T. Czytelników, zainteresowanych przygotowaniem „Motoru” do rundy wiosennej i, miejmy nadzieję, awansu do ekstraklasy. Czekają na to cały Lublin, a nie tylko.

Po zakończeniu rozgrywek piłkarze „Motoru” trenowali do 1 grudnia ub. roku, potem przez miesiąc mieli wolne, wykorzystywane z reguły na leczenie kontuzji. Zrezygnowano ze zbiorowego wyjazdu, żeby po prostu dać zawodnikom odpocząć od siebie. Zdało to egzamin.

W dniach 3–11 stycznia br. drużyna trenowała w Lublinie. Oprócz tego prowadzono badania wydolnościowe i psychologiczne. W pierwszych z nich

piłkarze uzyskali wyniki zadawalające, świadczące o tym, że do treningu się przykładali. Psycholog natomiast stwierdził wyraźną poprawę więzi nieformalnych, rzutujących wyraźnie na atmosferę w drużynie. Równie wysoko oceniona została trafność wyboru kapitana zespołu, którym jest — jak wiadomo — Waldemar Wiater.

Do 25 stycznia, Lesław Cmikiewicz i jego podopieczni trenowali w Nowym Targu, kładąc nacisk na wytrzymałość ogólną. Zajęcia odbywały się trzy razy dziennie. Przy czym ostatnie, wieczorne, miały charakter techniczny. Jako ciekawostkę i nowość w pracy treningowej można odnotować rezygnację z biegania w tzw. pasach (obciążanych ołowiem).

Po powrocie do Lublina drużyna rozegrała w odstępie tygodnia cztery mecze kontrolne, cały czas



Nowe twarze, nowe nogi w drużynie. Mirosław Car (z lewej) i Marek Szaniawski.

Foto: Cezary Krupa

trenując w sali bądź w terenie (gdzie n.b. ich odwiedziliśmy). Forma pokazana na boisku treningowym wydaje się być dobrym prognostykiem przed rundą wiosenną.

Kolejnym zgrupowaniem „Motoru” był pobyt w Pionkach w ośrodku „Chemik”. Tu również Cmikiewicz pracował z piłkarzami nad wytrzymałością ogólną. Ostatnim etapem przygotowań jest trwające właśnie, trzecie w przerwie rozgrywkowej, zgrupowanie w Kamieniu k. Rybnika, gdzie zajęcia koncentrują się już tylko na taktyce. Lubelscy piłkarze rozegrają, bądź już rozegrali, mecze z „Ruchem” Chorzów bytomskimi „Szombierkami”. GKS Tychy i „Odra” Wodzisław.

Ostatnie dwa tygodnie przerwy (do 20 marca) spędzą już w Lublinie. W tym okresie skrytykuje się skład pierwszej drużyny.

Mówi Lesław Cmikiewicz:

— Jestem zadowolony z dotychczasowego przebiegu przygotowań. Przede wszystkim muszę pochwalić chłopców za rzetelną pracę na treningach. Pracowali naprawdę „ekstra” i o wytrzymałość jestem spokojny. Pewne obawy wiąże z wykazywanym w meczach kontrolnych brakiem dojrzałości taktycznej, co przy takim doświadczeniu większości zawodników wydaje się dziwne. Nadal mam kłopot z obsadzeniem drugiej linii, a przede wszystkim pozycji środkowego. Pozostają mi tu już tylko eksperymenty z Jasią i Witkowskim.

Zmiany kadrowe. Praktycznie ich nie było. Odszedł Opolski do „Legii”, a przybyli napastnik Szaniawski, wychowanek tego klubu i Car, dobry środkowy obrońca, który trafił do „Legii” z Bielska Podlaskiego. Obaj mają po 22 lata i pożytek z nich będzie na pewno. Do pierwszego składu powrócił Kalinowski, który mimo 35 lat nadal jest dobrym bramkarzem, o ogromnym doświadczeniu.

Cel, jakim jest awans do ekstraklasy, nie zmienił się. Nadal twierdzę, że jest to realne. Choć muszę powiedzieć, że brano mnie za wariata, kiedy mówiłem o tym od początku rozgrywek. Mogłem powiedzieć, że ten sezon przeznaczamy na konsolidację po spadku, jak robi to wielu spadkowiczów; też by się nie stało i też by nie było pretensji. Nadal jestem jednak optymistą. Uważam, że głównymi atutami mojej drużyny w rundzie wiosennej powinny być: wytrzymałość, doświadczenie i ambicja. Sprzyja nam też kalendarz rozgrywek. Z drużyn, które będą naszymi najgroźniejszymi przeciwnikami, wymienilibym: „Hurnika” Kraków i „Radomiaka”. To wszystko — na dziś.

W zasadzie trudno coś dodać do wypowiedzi trenera. Z nadzieją oczekujemy na 20 marca i mecz z „Avią”. Tymczasem — zdjęcie z leśnej harówki w Dąbrowie.

W.P.



## „RAZEM I OSOBNO”

Panie Redaktorze!

Wewnętrzny imperatyw każe mi ustosunkować się do zamieszczonego w numerze 3 „Kamień” studium o pisarstwie Ryszarda Jegorowa pióra Feliksa Fornalczyka oraz wynurzeń osobistych Ryszarda Jegorowa, a szczególnie do sprawy współautorstwa tegoż książki „Ziemia płonie” i „Burzany”. Sprawa ma poważny podtekst moralny i nie sądzę, by można nad nią przejść do porządku dziennego.

F. Fornalczyk jest ostrożny. Przynajmniej R. Jegorowowi współautorstwo, pisze: „Józef Sobiesiak w przypadku dwóch pierwszych tomów swojej wspomnieniowej trylogii występuje wspólnie z Ryszardem Jegorowem, przy trzecim (chodzi o tom „Brygada Grunwald” — Z.M.) tego uzusu nie podtrzymał. Pokłócił się, czy doszli do porozumienia? Jaki był wkład autorski Jegorowa? Admirał Sobiesiak zmarł w 1971 roku; Ryszard Jegorow nie wypowiedział się dotąd publicznie na temat ich współpracy. Sobiesiak wydal jeszcze pod swoim nazwiskiem powieść „Przebraże” (1964), został nlebowem przyjęty do Związku Literatów Polskich. Jegorow dostał się do tego stowarzyszenia znacznie później i nie znalazł się przeto w zestawie „Polskich pisarzy współczesnych” Lesława M. Bartelskiego”.

Natomiast Jegorow w swych wynurzeniach pisze m.in.: „Wspomniani już wpływowi ludzie nie życzyli sobie, by moje nazwisko znalazło się kiedykolwiek na okładkach Książek. Nie widząc dla siebie innego wyjścia, postanowiłem posłużyć się czymś w rodzaju „tarczy ochronnej”. I tym przede wszystkim należy tłumaczyć, iż na pierwszych moich tytułach wydawniczych figurują wraz ze mną współautorzy. Mam na myśli trzy książeczki z serii „Złote tygrysy” wydane wspólnie ze Stefanem Krakowskim, oraz dyptyk: „Ziemia płonie” i „Burzany” z Józefem Sobiesiakiem”.

Pomijam tu już niekonsekwencje logiczne: nie chcieli, aby kiedykolwiek nazwisko Jegorowa widniało na okładkach Książek, a nazwisko de facto widniało (dodatek cudzego nazwiska w tej sytuacji nieznaczący). Muszę jednak wystąpić w obronie nieznanego Sobiesiaka. Znałem go dosyć dobrze i spędziłem na rozmowach z nim wiele czasu. Był nie tylko niekwestionowanym bohaterem czasów wojny, ale i znakomitym, rasowym gawędziarzem, mającym doskonałą wrażliwość wsteczną, a w dodatku dość zasobną dokumentację do swego okupacyjnego życiorysu. Nie mam żadnej wątpliwości, że był w stanie sam napisać pamiętniki obszerne, barwne, oddające nie tylko klimat epoki, ale i bogata faktografią, charakterystyki spotykanych osób, opisy batalistyczne itp. Słowem był uzdolnionym pisarzem-gawędziarzem i nie mam w tym względzie żadnych wątpliwości.

Tak się jednak składa, że uczestnicy wydarzeń z lat wojny z różnych przyczyn poszukują wśród ludzi parających się piórem kogoś, kto by spisał ich wspomnienia, nadał ich wynurzeniom kształt poprawny pod względem kompozycji czy języka. Po prostu początkowo nie ufają sobie, nie wiedzą, jak się do tego zabrać, jak przepchać swoje wspomnienia do wydawnictwa itp. Redaktorzy w wydawnictwach znają te sytuacje. Często pracują mozolnie nad maszynopisem oddanym do redakcji i... nie umieszczają swojego nazwiska przy nazwisku autora i taką sytuację należy uznać za normalną i etycznie właściwą. Mogę w każdej chwili podać liczne dowody na takie precedensy. Czasami zdarza się, że wysiłek redaktora jest tak znaczny, iż jego nazwisko umieszcza się na pierwszej stronie z adnotacją: redakcja naukowa lub coś w tym rodzaju. W żadnym jednak wypadku nie jako współautor! Widziałem wydane już wspomnienia z dopiskiem: spisał... lub kształt literacki wspomnieniom nadał...

W swych wynurzeniach Jegorow wspomnienia Sobiesiaka określa jako „powieści”. Nie sądzę jednak, by tak było. Zarówno „Ziemia płonie” jak i „Burzany” są klasycznymi pamiętnikami partyzantów, spisany (jedynie spisany) przez Jegorowa. Sobiesiak, gdy dostrzegł, że pomoc „spisywacza” jest mu w gruncie rzeczy niepotrzebna, zaczął pisać sam, a ewentualne „makiżaje” stylistyczne i kompozycyjne dokonali tzw. wiodący redaktorzy w wydawnictwie. Podobną przygodę przeżył inny lubelski literat Henryk Pająk. Zaprzyjaźniwszy się z cudownym narratorem Henrykiem Cybulskim, spisał jego wspomnienia (gawędy?) i wydał drukiem, zaznaczając swój wkład. Oddał mi Sobiesiakowi to, co mu się należy — to on był jedynym autorem książki, a rola Jegorowa sprowadziła się do spisanie jego wyznań i nadania im określonego kształtu literackiego.

Przykro mi, że muszę o tym pisać, gdyż w gruncie rzeczy cenię sobie indywidualność Jegorowa i jego dalsze drogi literackie, i doprawdy, gdy popatrzymy na jego obecną twórczość, zupełnie niepotrzebne są dywagacje o „tarczach ochronnych” i „powieściach” pisanych z Sobiesiakiem. Szukał sobie wtedy miejsca w życiu, przebiegał się z trudem jako pisarz i wpadał w zasadzki. Ma to już teraz za sobą i żyć mu dalszych książek pisanych naprawdą przez siebie i opartych na własnych odkryciach i wyobraźni pisarskiej.

Zygmunt Mańkowski

## „NORA, STRZECHA, CZY DEMOKRACJA?”

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytając Pański artykuł pt. „Nora, Strzecha czy Demokracja?”, nasunęły mi pewne wątpliwości do całej koncepcji reaktywowania tego rodzaju placówki. Jestem przekonany, że nowo otwarta placówka tylko sloganowo ma zmienić profil programowy, że będzie ona miejscem spotkań i twórczych inspiracji lubelskich środowisk twórczych. A w rzeczywistości będzie to miejsce spotkań towarzystwa lubiącego zaglądać do kieliszka.

Zapewne zapyta Pan, na jakiej podstawie tak sądzę? A oto, żeby utwierdzić Pana w swoim przekonaniu, wystarczy zapoznać się z regulaminem porządkowym członków tegoż klubu.

W punkcie 1 — Klub jest czynny w godzinach:  
a) sala restauracyjna i piętrowa od 13—23  
b) sala klubowa (parter) od 13—24 (alkohol sprzedawany jest w godz. 17—23)  
c) sala cocktailowa (piwnica) 20—24 (alkohol sprzedawany do godz. 23:30)

A gdzie jest sala na działalność merytoryczną tegoż Klubu? Nie ma, Panie Redaktorze! A jeżeli od czasu do czasu i z przypadku takowa impreza odbędzie się, to tzw. „katem” w salach alkoholowych z zastrzeżeniem, że w czasie imprezy usługi gastronomiczne nie będą prowadzone. (I tu chwala Radzie Klubu).

Zastanawiam sobie fakt, czy ludzie z tego środowiska nie potrafili zapewnić pełnej frekwencji bez alkoholu? Czy brak im inwencji twórczych? Czy nie znają swego rzemiosła? Przecież są to w przeważającej większości profesjonalistów. Powie Pan, Redaktorze, że taką sielską atmosferę można wytworzyć we własnym domu, nie potrzebny jest do tego aż „TAKI KLUB”, a ja odpowiem Panu, że na tego rodzaju działalność, jaką z góry założyła Rada Klubu, szkoda jest takiego lokalu, bo podobny charakter działalności prowadzą zakłady gastronomiczne na terenie Lublina.

I jeszcze pozostałe punkty regulaminu szeroko omawiają odpowiedzialność członka Klubu (i osoby przez wprowadzonej) za właściwe i kulturalne zachowanie się w czasie pobytu w Klubie. Przecież wstęp, wg wszelkich założeń, będą mieli tylko kulturalni ludzie i po co, Panie Redaktorze, takie ubezpieczenie ze strony Rady Klubu? Czyżby nauczeni z czasów działalności Klubu PKPKRIT „Nora” (również dostępnego tylko i wyłącznie dla ludzi kulturalnych), wiedza, co może ich spotkać?

A przecież ma to być placówka kulturalna dla ludzi ze środowisk twórczych — w efekcie wspomniany regulamin z góry przewiduje knajpiową atmosferę. A więc po co, Panie Redaktorze, dzielić włos na czworo nad przyszłą jego nazwą i tak, „kak rwał, tak rwał”, będzie to miejsce „można pochlać”.

J.G.

(Nazwisko i adres znane redakcji)

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
8									
		11							
12							13		
		14			15	16			
17		18						19	
			20			21			
22	23							24	25
	26			27					
28						29	30		
		31	32						
		35							
							36		
37				38					

POZIOMO: 3. wyspa na Pacyfiku syrybuzująca zwrot w wojnie Japonii z USA, 5. żoładz, 8. pod Babia Góra, 11. delfin lub książę Wali, 12. ludowy instrument szarpalny, 13. do mierzenia ropy i benzyny, 14. pisarz lubelski, który w latach czterdziestych był naczelnikiem Wydziału Kultury Urzędu woj. lubelskiego, 17. futuro z wyższych sfer, 19. kiepski obraz, 20. koła zębate, 21. operowe pieśni, 22. pasta, 24. ryje pod ziemią, 26. płynię z Pasma Podhalańskiego do Wisły i stanowi w dolnym biegu granicę między dwoma województwami, 27. rozdzarta kołczy „Ludzi bezdomnych”, 28. kierownica statku, 29. początek biegu, 31. ze zboczy Turbacza płynie do Dunajca przez Rzeki i Szczecawę, 33. w szkockiej orkiestrze wojskowej, 34. faraon dżiz, 35. XVIII-wieczny historyk, którego prace inspirowały pisarzy powieści historycznych, 36. ginące grzyby lasów iglastych, 37. krowny w linii męskiej, 38. przesadna uczuciowość wypowiedzi.

PIONOWO: 1. pisarz powieści z życia ludu śląskiego, 2. plastik i twórca teatru „Cricot 2”, 3. malpy używane do doświadczeń laboratoryjnych, 4. zmarły w 1959 roku plastik lubelski, twórca bardzo ciekawych martwych natur, 6. daty nazwy faszyzmu, 7. pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla, 8. materiał rzeźbiarski, 10. nieboszczyk w śledztwie, 13. XIX-wieczny pisarz polski, który mieszkał w Samokleskach pod Lublinem,

15. powieść okupacyjna Gojawiczyńskiej, 18. polski motorower, 19. teatralna ucięta kończy, 20. będzie z niej siano, 23. pisarz radziecki, autor „Upadku Paryża”, 25. pisarz polski, autor wielu wierszy o Tatrach, 28. ptak myśliwski, 29. pod Kujbyszewem wpada do Wołgi, 30. hiszpańska flota wojenna, 31. hinduska grupa społeczna, 32. drobny węgiel.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-250 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązania rozlosujemy bonus książkowy za 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówek nr 6

POZIOMO: Gombrowicz, lampas, Strykowski, odruch, aronia, arras, barkas, sag, Kazbek, pulk, Reed, Bogdan, Ido, Rostow, marsz, kazeł, arkusz, Sienkiewicz, Balzac, Grenlandia.

PIONOWO: Kilo, Amur, wał, Ostrowski, rajtar, Inwar, Pieszkow, doża, unik, Ham-sun, Amado, Rabat, Babimost, Roger, apacz, Grodzicki, Kerała, sryk, Nagus, ukleja, sanie, Real, uszy, such.

Nagrodę wylosował: Adam Małodobry, ul. Robotnicza 4, 22-400 Zamość.



# ARCHIWUM MISTRZÓW ANEĞDOTY

Kiedy Balzaka wyśmiewano z powodu małego wzrostu, powiedział:

— Prawie wszyscy wielcy ludzie byli niski. Głowa musi znajdować się blisko serca, aby obie władze mogły harmonijnie współpracować.

Wiktor Hugo był kiedyś na seansie spirytystycznym. Wywołano ducha Ludwika XVI. Jeden z uczestników seansu potem powiedział:

— Muszę stwierdzić, że zachowanie się Viktora Hugo było wobec króla zupełnie poprawne.

Dwaj redaktorzy duńscy, Hörup i Sørensen, zostali ministrami. Po pewnym czasie ktoś zapytał króla Chrystiana, czy jest z nich zadowolony.

— Sprawują się doskonale — brzmiała odpowiedź — mają tylko nieprzyjemny zwyczaj rzucać do kosza różnych papierów, gdyż wydaje im się, że są to rzeczy nie przeznaczone do druku.

Nadworny poeta Ludwika Filipa, Vatout, zatruł się na obiedzie u króla i umarł. Donoszą o tym Dumasowie.

— Wszyscy zachorowali, cały dwór, księżta, księżniczki  
— A umarł tylko Vatout?  
— Tylko Vatout.  
— O pocheba!

Wybrał: R. Dunis

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Buczna, Mirosław Derecki, Tadeusz Szalski (kierownik działu literackiego), Ireneusz A. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (korespondent), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłoga.

Redakcja nie wraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 10—12. Wydawca: Robotelnice Spółdzielnia Wydawnicza BSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 1, tel. 233-24. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Ulicka 4. PE ISSN 0137-7198 Nr 7/1988 Muz. Lublin. Adres redakcji: 20-223 Lublin, ul. Skłodowskiej 23.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 233-25, sekretarz redakcji 219-82, dział publicystyki i literacki 219-29.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-250 Lublin 2, skrytka pocztowa 231 polecona i obywatelska — pod adresem redakcji.

Zam. 108/83 z dn. 3.11.83 r. 2-4



# CO JEST W TEJ PIŁCE?



## Rok 1969: Raz na wozie, raz pod wozem

**R**OK 1969 zaczynał się dla mojego klubu jako rok nadziei na cud, czym byłoby niewątpliwie utrzymanie się w lidze. Ja zaś miałem nadzieję na jeszcze większą laskę Ryszarda Koncewicza, który — jak mi się wtedy zdawało — powinien przejść od pochwał do konkretów i powołać mnie do szerokiej kadry narodowej.

Zimą przepracowaliśmy z nowym trenerem solidnie. Pozostawało jeszcze „tylko” zdobyć 16 punktów w trzynastu meczach, tak żeby zakończyć rozgrywki z kontem 24-punktowym, co gwarantowałyby zatrzymanie I ligi w stolicy Dolnego Śląska.

Warto też powiedzieć, co się wówczas działo w polskim futbolu. Otóż 20 kwietnia 1969 r. drużyna narodowa inaugurowała eliminacje do Mistrzostw Świata „Mexico 70” meczem ze słabym Luksemburgiem. To było „małe piwo”, ale oprócz Luksemburga do naszej grupy trafiła Holandia i Bułgaria.

O ile uznawano, że z Bułgarami jesteśmy w stanie zdobyć trzy punkty, o tyle nie dawano nam specjalnych szans w pojedynkach z Holendrami. Był to również czas świetności „Górnika” Zabrze i prasa sportowa lansowała koncepcję, aby drużynę oprócz na drużynie Lubańskiego i Szołtysika, uzupełnionej o dwóch — trzech innych piłkarzy. Sam pomysł najbardziej podobał się chyba w Zabrzu, bo jadąc na tournée do Ameryki Południowej (mówiło się, że to już taka wstępna „przymiarka” do Meksyku) „Górnika” zaproponował Koncewiczowi, aby udał się z nimi i na miejscu śledził grę górników. „Faja” odmówił. Słusznie zresztą, bo mogłoby to zostać odczytane, jako akceptacja pomysłu górniczej kadry. Występy na drugiej półkuli udały się „Górnikom” bardzo dobrze. Na tyle dobrze, że ponownie zaproponowano selekcjonerowi udział w wyjeździe. Tym razem do Anglii.

Ostatecznie trener Koncewicz powołał szeroką kadrę liczącą 38 zawodników, w tym chyba ośmiu zabrzańców. W tej grupie znalazłem się również i ja, jako jeden z czterech piłkarzy dolnośląskich (pozostali byli zawodnikami „Zagłębia” Wałbrzych: Wyrobek, Pawlik, Stachula). Następnie z grupy tej odpadło dziewięciu ludzi. Rywalizowałem wtedy o miejsce z Kostką, Gomolą, Grotyńskim. Zważywszy ich ówczesną formę i doświadczenie, byłem praktycznie bez szans. I faktycznie odpadłem z tej gry. Żał było, ale pozostała świadomość, że mnie zauważono.

Co się działo w „Śląsku”? Wystartowaliśmy w rundzie wiosennej, przegrywając 0:1 w Szczecinie z „Pogonią”. Bramkę straciliśmy z karnego na kwadrans przed końcem. Tę „jedenastkę” zapamiętałem dobrze. Kielec strzelił bardzo silnie w górny róg. Nie miałem czasu nawet na reakcję w odpowiednim kierunku. Przy takich strzałach bramkarz pozostaje bez szans. Ma je, jeżeli strzelający zaczyna bawić się w technikę, przechytrzenie. Wtedy taką wojnę nerwów można wygrać. Następny mecz przegraliśmy u siebie z „Odrą” Opole (0:1), pechowo, ale co to kogo obchodzi. Trzeci mecz — trzecia porażka. Tym razem z „Ruchem” Chorzów; znów we Wrocławiu. W czwartym meczu podejmowaliśmy legionistów, którzy odparli nas z bagażem czterech goli (0:4). Była to najgorsza porażka „Śląska” na swoim boisku. Mecz ten był także moim prywatnym dramatem. Po golach Deyny i Brychczego zostałem zdjęty z boiska, mimo że nie bronilem źle i bramki strzelono mi z kilku metrów. Decyzję o zmianie podjął trener i nie dyskutowałem z nią. Było mi jednak cholernie przykro. Prasa pisała wtedy: *W ostatnim meczu, idąc za głosem kilkunastu skandujących wyrostków, odesłał po pierwszej połowie do szatni nadzieję wrocławskiego (i chyba polskiego) futbolu — Tomaszewskiego za to, że puścił dwie bramki strzelone [...] z odległości pięciu metrów. Chodziło tu o trenera Woźniaka, którego ostro wówczas krytykowano za brak spodziewanych wyników. Po tym meczu spadek „Śląska” był już o krok. Nie pomógł już późniejszy zryw drużyny i wygranie trzech meczów po kolei. Po lepszym okresie znów przyszły porażki i ostatecznie pożegnaliśmy ekstraklasę. Przygnębienie w klubie było duże. Dodatkowo potęgowały je plotki o planowanych odejściach co lepszych zawodników, a i konkretne działania.*

Warszawska „Legia” zaproponowała mi przejście. Obiecywano korzystne warunki transferu. Ostatecznie zostałem. Czy musiałem? Nie. Klub mógłby mnie zatrzymać w żaden sposób, bo przechodziłbym do drużyny mistrza Polski z II ligi. Ponadto byłem członkiem kadry i warunki rozwojowe przemawiały raczej za drużyną lepszą, niż gorszą. O co więc szło? Ano, o pewien patriotyzm. Po pierwsze — działacze byli wobec mnie zupełnie fair. Powiedzieli: *Nie możemy cię przytrzymać na siłę. Znasz jednak sytuację drużyny i wiesz, że z tobą mamy szansę na powrót do I ligi, za rok. Możemy cię tylko prosić o pomoc i to właśnie robimy.*

*Ty wybieraj.* Było to postawienie sprawy po męsku. Po drugie byłem pupilkiem wrocławskich kibiców i, prawdę mówiąc, żał mi było się z nimi rozstać. Inaczej się broni, mając za sobą życzliwą publiczność, inaczej, kiedy trzeba ją dopiero zdobywać. A w „Legii” bronił przecież Wladek Grotyński, postać bardzo w stolicy popularna i lubiana. Zajęcie jego miejsca w bramce nie byłoby takie łatwe. Po trzecie — we Wrocławiu wychowałem się od urodzenia i autentycznie polubiłem to miasto. Tu mieszkała cała moja rodzina. Po czwarte i chyba ostatnie — miałem już swoje mieszkanie, które dopiero zdążyłem urządzić. Wszystko w sumie razem zdecydowało, że pozostałem w klubie.

Może w tym miejscu kilka słów o mojej matce. Jak każda matka, życzyła mi najlepiej, bała się o mnie, starała pomagać, doradzać. Ale nie bardzo wierzyła w moją karierę piłkarską. Przełomowym momentem było chyba powołanie mnie do kadry narodowej i występy w młodzieżówce. To było coś ponadwrocławskiego i to do mamy przemawiało



Fot. Cezary Krupa

silniej. Zauważyłem też, że zaczyna się interesować moimi wynikami sportowymi i na swój sposób próbować na nie wpływać. Pracowała już wtedy jako kolektorka Toto-Lotka i, chcąc nie chcąc, miała kontakt z kibicami piłkarskimi. Kiedy zagrałem dobry mecz, przychodzili i mówili: *Pani Tomaszewska, jak to dobrze, że ma pani takiego syna. Szkoda, że nie jedenastu...* Itd. Zdarzały się jednak wpadki. Co ja wtedy w domu miałem... Przychodziła do domu i suszyła mi głowę: *A nie mówiłam ci? Nie przychodzisz późno. Nie siedzisz po nocy. Nie jedz tego, nie pij tamtego.* W takich przypadkach roztaczała też nade mną szczególny dozór i czekała na efekty. Jak zagrałem dobrze, odpuszczala mi i była zadowolona. Kolektura matki stała się swoistym barometrem moich postępów zawodniczych i wywoływała dalsze „domowe” konsekwencje. Oczywiście, w sumie pozytywne, choć nieraz zgrzytałem zębami i powstrzymywałem się, żeby mamie nie odpalić jakimś mocniejszym słowem.

Przy tej okazji warto też powiedzieć o mieszkaniu. W początku 1969 roku otrzymałem od klubu mieszkanie. Jeden pokój z kuchnią o powierzchni 35 metrów kwadratowych. Otrzymałem również 80 tysięcy na zagospodarowanie. Było to, jak na tamte czasy i jak na mój kawalerski stan, dużo. Oczywiście, mając własne mieszkanie, postanowiłem od razu wyprowadzić się z domu rodzinnego. I tu matka stanowczo zaprotestowała. Uważała, że jestem jeszcze dzieckiem wymagającym stałej opieki i dozoru, bo bez tego może mi się stać krzywda, albo sam się wpakuje w jakieś kłopoty. Nie była ponadto zachwycona faktem posiadania przeze mnie sporej gotówki. Doszło do scysji i wyprowadziłem się z domu rodziców. Przy pomocy siostry zaczęłam powołać urządzać mieszkanie i po trzech miesiącach mogłem już do niego zaprosić matkę. Wyglądało w nim, jak w bajce (jeżeli można tak powiedzieć). W każdym razie zupełnie nieźle. Jak na kawalera. Matka początkowo nie chciała przyjąć, ale w końcu dała się namówić. I po tej wizycie zmieniła o mnie zdanie. Zaczęła mnie traktować

może jeszcze nie jako dorosłego, ale jako osobę na tyle poważną, że jak coś ma, to niekoniecznie musi zaraz przejechać, przetracić, przebrać i na koniec wrócić do mamusi po pieniądze.

Skoro jesteśmy przy finansach, to chciałem powiedzieć, że zarabiałem wówczas w klubie 4600 złotych. Z dodatkami wychodziło około pięciu tysięcy. Za wygrany mecz otrzymywaliśmy 900 złotych, a za remis — połowę tej kwoty. Dochodziły jeszcze premie okolicznościowe, uzależnione od oceny drużyny przez klub. W sumie byłem sytuowany nieźle jak na owe czasy, bo miesięcznie zarabiałem około ośmiu tysięcy. Wydaje mi się, że przymierzając do dzisiejszych warunków, można by to pomnożyć przez trzy i pół.

Rok 1969, mimo niewątpliwych niepowodzeń klubu, był owocny w dobre mecze młodzieżówki. 11 lipca w Mielcu pokonał Finów 2:1. Mecz toczył się przy nie wykorzystanej naszej przewadze. Bramkę puściłem na siedem minut przed końcem spotkania w sytuacji sam na sam. Z piłkarzy, występujących później przez dłuższy czas w pierwszej drużynie narodowej, grali w tym meczu Wyrobek i Wraży. 22 lipca graliśmy ze znacznie silniejszym przeciwnikiem — młodzieżówką Węgier. Mecz potraktowano bardzo poważnie, bo powołano nawet Lubańskiego. Grali także m. in. Wyrobek, Gorgoń i Cmikiewicz. Znowu przy okazji tego meczu muszę wspomnieć o wielkiej klasie piłkarskiej Włodka Lubańskiego. Zaczniemy od tego, że napastnik zabrzański był w okresie roztrawiania, w najlepszym razie budowania formy. Wezwany został na mecz, bo nie przyjechał do Warszawy Kozerski; dokładnie już nie pamiętam dlaczego. W czasie meczu Włodek nie błyszczał i nawet kibice układali na ten temat przysięwkę. Wystarczył jednak moment. Lubański przedryblował trzech Węgrów, sprytnie, piętą zagrał do Janika i ten już nie miał kłopotu ze zdobyciem gola. Wygraliśmy 1:0. W całym meczu Lubański grał tak

naprawdę może dziesięć minut, ale za to jak! Właśnie w tym przejawia się prawdziwa klasa sportowa; niezależnie od formy, poziomu wytrenowania istnieje coś takiego, jak inteligencja, która, uruchomiona nawet na krótko, przynosi efekty większe niekiedy niż półtoragodzinne tyranie na całym boisku.

17 września 1969 r. doszło też do rewanżowego spotkania z młodzieżowcami NRD, w Törgelów. Po wygranej w Lublinie byli faworytami i raczej nasz sukces nie był brany pod uwagę. Istotnie, przez pierwszych siedem minut Niemcy siedzieli na naszej połowie. Wynikła z tego bramka strzelona mi z wolnego. Złe ustawiono mur, ja tego nie skorygowałem w porę i Schellenberg walnął w lukę. Ta bramka jakby nieco uspokoiła przeciwników, co się na nich zemściło już trzy minuty później. Po strzale Malkiewicza piłka zrykosztowała od nogi obrońcy niemieckiego i wpadła do siatki. W 40 minucie zdobyliśmy gola, który powinien zostać sfilmowany i pokazany na zajęciach szkoleniowych. Po akcji rozpoczętej w okolicach naszego pola karnego, dzięki trzem długim podaniom z pierwszej piłki znaleźliśmy się w okolicy linii pola karnego Niemców. Na czystą pozycję wyszedł Leszek Cmikiewicz i również uderzył z pierwszej. Piłka wyśladowała w okienku, a publiczność zaczęła bić nam brawo. Była to akcja isic profesorska. Mecz zakończył się naszą wygraną 2:1 i został uznany za jeden z najlepszych rozegranych przez Orleńta w ostatnich latach. Z tej drużyny wyszli m.in. Domarski, Musiał, czy wspomniany już wrocławianin i mój serdeczny kumpel — Leszek Cmikiewicz.

Rok ten zakończyło tournée młodzieżowców Kazimierza Górskiego po Syrii i Iraku, w którym miałem sposobność brać udział. W sumie osobście był to dla mnie rok udany, mimo że mojej drużynie klubowej wiodło się kiepsko. Bywa i tak.

Do druku przygotował:  
Waldemar Piasecki